

**KORNEL MAKUSZYŃSKI**

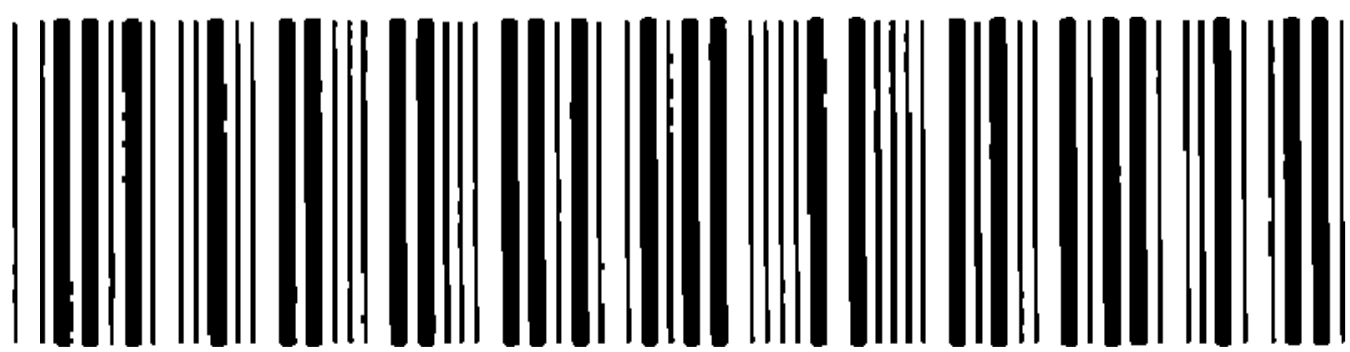
**RADOSNE  
i SMUTNE**

**WARSZAWA — 1920.**

NAKŁADEM SPÓŁKI WYDAW. „RZECZPOSPOLITA”



**Biblioteka Uniwersytecka KUL**



1000836441

RADOSNE SMUTNE

Drogiemu Panu  
Wacławowi Borowemu,  
Słowickowi, Co umie znaleźć  
serce książki, z prośbą o  
odrobienie korektury.  
K. Jakubczyk

24/1 921



**KORNEL MAKUSZYŃSKI**

**RADOSNE  
i SMUTNE**

**WARSZAWA 1920**

Katolicki Uniwersytet Lubelski  
Zakład Historii Literatury Polskiej

~~MP~~ 0659

## KORNELA MAKUSZYŃSKIEGO:

- Połów gwiazd — wydanie III.
- Rzeczy wesole — wydanie VII.
- Romantyczne historie — wydanie III
- Dziwne powieści — wydanie III.
- Zabawa w szczęście — wydanie III.
- Awantury arabskie — wydanie III.
- W Kalejdoskopie — wydanie IV.
- Dusze z papieru — serje trzy.
- Perły i wieprze — wydanie IV.
- Po mlecznej drodze — wydanie IV.
- Straszliwe przygody — wyczerpane.
- Bardzo dziwne bajki — wydanie II.
- Słońce w herbie — wyczerpane.
- Narodziny serca —
- Pieśń o Ojczyźnie — w druku.
- Pochwała „Ślubów panieńskich” — wyczerpane.
- Piosenki żołnierskie — setny tysiąc.
- Żołnierz, djabeł i dziewczyna — pięćdziesiąty tysiąc.
- Radosne i smutne.





PO POWROCIE



1.

**N**iech mnie dobry, polski Pan Bóg broni, iżbym miał opisywać to wszystko, na co patrzyły zdumione oczy moje w tych czasach, kiedy się zdawało, że „bogi i ludzie szaleją” Tylko zawodowy, rutynowany warjat zdolaliby to wszystko minione pojąć i ująć w oszalałą całość. Człowiek, który nałogowo wiąże przyczynę ze skutkiem, został zmiażdżony i wytracony z kolei prawowitego myślenia, pobladł, osłabnął, potem z pogardliwym grymasem człowieka, którego już nic na świecie zdziwić nie potrafi, ze śmiertelnym spokojem filozofa, który poznał tysiąc czterdzieści trzy rodzaje śmierci, patrzył w niebo, które każdej chwili również mogło oszaleć mogło urządzić wybuch księżycy, strzelanie gwiazdami, lub z Wielkiego Wozu zbudować opancerzony automobil. Wielu już uczciwych ludzi osiwiłało, czytając o tem, co się działo u naszych nieszczęsnych sąsiadów za owych dni, kiedym w r. 1918. w starym, złoconym Kijowie wiódł przez długie dni pogodny



dyskurs ze śmiercią na temat: jak umrzeć najwygodniej i bez bólu?

Nie należy tedy straszyć raz jeszcze spokojnych ludzi i nie należy psuć zdrowych nerwów.

Pismo ni iejsze jest raczej prywatną relacją dla przyjaciół, którzy mają dobrotliwą manję zdumiewania się przy spotkaniu, że jeszcze żyję, że mi nie brak choćby jednej ręki lub nogi, jakiejś wreszcie drobnej oznaki burzliwych przejść, chociażby wybitych kilku zębów, lub takiej drobnostki, jak jedno oko. Dobrze jest też czasem pomyśleć o tem, co było i przyjrzeć się temu, co się znalazło po powrocie, co właśnie uczynić zamierzam, okpiwszy śmierć i jeszcze serdeczniej ukochawszy życie, chociażby tak dychawiczne, jak to, co się snuje po Warszawie w kamedulskich trepkach w braku lepszego pokarmu zjada własną wątrobę.

Należy przy tej sposobności zachować grecką pogodę umysłu rozważać miłosny do Warszawy stosunek z jesiennym, łagodnym, cichym spokojem, na wszelki wypadek bez uprzedzeń, starając się dokładnie pojąć chimeryczne sentymenty Warszawy, która wie o tem, że jest piękna, w sobie zabójczo zakochana i wskutek tego ma w sobie wiele z prześlicznej kobiety, której najwybitniejszym wdziękiem jest to, że od czasu do czasu sama nie wie, czego chce. Ale takie łagodne, przemijające szaleństwa są

ozdobą miłości. Oto Warszawa uczyniła piękny grymas na pięknej twarzy, patrząc z pod zmrużonych powiek na tłum „powracających”. Tak samo śliczna kobieta patrzy na powracających po latach kochanków, którzy stracili styl. Daremnie taki tłumaczy, że przez kilka lat jęczał i tęsknił, patrzył w niebo i przez grudę gwiazd biegał myślą nad Wisłę, że zarobił ręce po łokcie, byle wrócić, że dał sobie zaszczepić z wielkiej i obłąkanej miłości tyfus, ospę i cholera, że, w bydłącym wagonie jadąc przez dwa tygodnie, drżał z niecierpliwości, a kiedy zdaleka ujrzał srebrem zasnutą Wisłę, wtedy rękawem ciężką ciepłą otarł łzę... No, tak... Wszystko jedno... Warszawa zawsze jest tą najdroższą, dla której... Jeszcze raz, wszystko to jedno...

Wobec tego, niejeden z tych, co powrócili, najpierw bardzo pilnie, z dziwnie zdumionym spojrzeniem patrzył w niebieskie oczy najpiękniejszego tego miasta; potem zaczął myśleć głęboko i smutno zwieszał głowę na piersi; wreszcie dwóch takich romantyków powiesiło się wedle wszelkich zasad sztuki, jeden się starym, dobrym zwyczajem, zastrzelił, a jeden, biedaczyna już taki, że go nie stać było na żaden patentowany przyrząd do uśmierzenia rozpalonej głowy i do uspokojenia rozwichrzonego z wielkiej miłości serca, rzucił się łbem

na dół na gościnny bruk warszawski, zupełnie niepomysłowo. Należałoby o tych straceńcach napisać to, co się pisze w kronikach policyjnych, podając jako drobiazgowy i małoznaczny powód samobójstwa: „nieszczęśliwą miłość”

Na resztę nieprzyzwoitych „reemigrantów” patrzą ludzie stołeczni z dobrotliwą podejrzliwością i z tym paralitycznie słodkim uśmiechem, złożonym chemicznie z dozy politowania, współczucia, arszeniku, kwasu siarczanego i tym podobnych serdecznych ingredjencji. Istnieje bowiem epidemiczne podejrzenie, że te zmizerowane Don Kiszoty, których wojna, jak pies w pięty gryząc, pędziła przed siebie, wciąż dalej dalej, czasem aż na chińską granicę, — wszyscy są utajonymi milionerami. Mam zawsze wrażenie, ilekroć mi się kto serdecznie i ze wzruszeniem w dobrych oczach przygląda, że ów człowiek zacny myśli i pilnie w gościnnej sercu rozważa, iż w podeszwie lewego buta mam ukryty milion, a w podeszwie prawego brylanty, z wrodzonej mi zaś obłądy, w celu ukrycia skarbów, piszę wiersze. Bardzo to jest wesołe i straszliwie zabawne, powoli zaś można do tego przywyknąć. Gdy się jednak rzecz tę wszechstronnie rozważy, nie można nie przyznać słuszności ludziom spokojnym i dobrze wychowanym, którzy napracowali się nad stworzeniem dla stolicy siedemdziesięciu siedmiu



kabaretów, kiedy nagle zjeżdża tłum biednych krewnych i rozsiada się ze stosem manatków. Żeby to jeszcze był przyzwoity gość, taki, co przyjdzie i pójdzie, ostatecznie gościnność polska zna swoje tradycje, ale to są goście nieprzyzwoici, bo taki to przyszedł, siadł, a wyjedzie dopiero na Powązki.

Wojna w istocie rozpełtała namiętności i rozsuchwalała ludzi.

Dość trudno tedy jest pojąć radość tej części Warszawy, która, szczęki zaciąwszy, postanowiła pracować bez wytchnienia, stwarzać szkoły i budować na rumowiskach, radość z powrotu wielu rąk do pracy. Swój zawsze swego znajdzie, przeto ci się prędko znajdą, wynajdą jakieś pokrewieństwo serc i dusz, zaklną się imieniem polskiego Pana Boga i zaczną nauczać dziś uczciwie szyć buty, uczciwie pisać wiersze i siać zboże. Jakoś to tam w wielkiej, wspólnej, serdecznej pracy dojdą zacni ludzie szybko do przekonania, że jest jedna Ojczyzna, jedna dla niej praca i nic niema ponadto. Bo my tak z początku zawsze. Trochę fochów, trochę komeraży, grymasy, mówienie przez nos, uśmieшки lewą stroną fizjognomji, wszystko to zaś bardzo grzecznie prawie, że wytwornie. Potem to już jakoś się przeciera. Pusta radość mnie chwyta na myśl, kiedy się spotkamy wreszcie po wielu, wielu latach i kiedy po na-

bożeństwie uroczystem w katedrze, podczas którego sam Pan Bóg, wzruszony ciepłą łzę obetrze, po wiwatach i rozczuleniach serc, ludzie polscy, od wzruszeń osłabli, zaczną się sobie nawzajem przyglądać. Wtedy to się znów dobry, mądry Bóg uśmiechnie na widok polskich grymasów, kiedy się szczerzy Polak z niešťęsnego Lwowa spotka z Warszawianinem, a Poznańczyk wejdzie do szczęśliwej kompanji. Bo tak zawsze było, że Galicjanin to jest w głębokiem, serdecznem pojęciu Warszawianina Polak drugiej klasy. Co zaś, wyśpiewując wdzięcznie swoją polszczyznę, mówi zawsze Galicjanin o „warszawskim arystokracie”, tego mi znowu zbyt szczerze powtarzać nie wypada, by nie robić plotek dzielnicowych. Będą one w powietrzu krążyły tak długo, aż wreszcie i Polacy nabiorą rozsądku, niema bowiem dla wszechmocnego Boga rzeczy niemożliwych. A wtedy to już nie będzie miary w wylewie uczuć, bo się stare, nieokiełznane, rozwichrzone i puste dzieci polskie ucałują z wielkim hałasem, z obcieraniem z wąsów łez, potem się pomieniają na czapki, a potem na serca. Jest to taka stara, nieznośna polska komedja, że mówić już o tem nie warto. A wspominać o niej dlatego tylko, by tym wszystkim, którym się zdaje, że po powrocie patrzyli na nich zezem i z litościwym uśmiechem — wytłóma-

czyć, że tylko barbarzyńskie narody mają zwyczaj nieogłądzone, polegające na tem, że, gdy jeden barbarzyńca spotka nagle drugiego po kilkuletniem niewidzeniu, wtedy taki jeden z drugim, bez uwagi na dobre maniery, rzucają się sobie w objęcia, najpierw płaczą z dzikiej, nieokrzęsanej radości, potem rzucają się jeszcze raz w objęcia, (jakież to dzikie!) potem jeden drugiego nakarmi, pomoże wynaleźć tanie mieszkanie, pomoże wynaleźć pracę i żyć poczynają w śmiesznej, jednostajnej, bez najmniejszych wrażeń braterskiej zgodzie. My jednak nie jesteśmy barbarzyńcami i poznaliśmy tajemnicę ludzi doskonałych, która orzeka, że wszelkie objawy gorących uczuć nabierają wtedy wartości czynnika społecznego, jeśli są ujęte w wytworne karby powściągliwości. Najpierw powściągliwość, potem serce. Najpierw trzeba odegrać scenę pięknego powitania, a potem można się na śmierć upić z radości.

Pojąwszy tedy należycie ten szczegół narodowej psychologii, można sobie nic nie robić z zewzowatych spojrzeń i z chłodu powitań i z góry zaznaczyć termin narodowego festynu, na którym zabite będzie tłuste ciele, w międzyczasie zaś należy nieco przecierpieć, nocując na bruku, kiedy zacny rodak, chcąc tem ściślej ukryć w stosie pozorów oszalałe z radości swoje zacne serce, by go naprawdę nikt o wzruszenia nie



posądził, — podniesie do tego stopnia komorne za mieszkanie bardzo ciasne, ale za to bardzo wilgotne, że mógłbyś, naiwny synu marnotrawny, posądzić go naprawdę w zaślepieniu swoim o brak serca. A to jest tylko pozór, zręczny, przemiły pozór, bo jednego dnia otworzą ci bezpłatnie na oścież serca i przycisną do piersi. Ja osobiście tak uwielbiam Warszawę, że nie uwierzę, by w takim cudnym mieście mógł kto zostać, rzeknijmy lekko — skorupiakiem na dłuższy termin.

Warszawę trzeba jednakże rozczulić. O, tak! Wobec kapryśnej kobiety należy być albo demonicznym i stosować do niej nietzscheańskie metody, co się w obrazowym języku chłopskim tłómaczy dobitnie przez sentencję, pełną miłosnego czaru: „Kocha mnie, bo mi odbił wątrobę i złamał żebro”, — albo też należy przewrócić po murzyńsku białka oczu, z fizjognomji urządzić całą cukiernię, mówić tylko wierszami, wylać parę perfumowanych łez i głęboko, głęboko westchnąć. Warszawa dlatego tak lubi teatr i dlatego kocha się w aktorach, że ci umieją z serca zrobić karmelek; czarne charaktery basem gadające, co obnoszą po scenie zawsze sztylet, albo truciznę, czasem zaś wyrwą nie-szczęśliwej naiwnej ze łba garść złotych, fałszywych włosów, mają mniej powodzenia. A Warszawa (ta, którą trzeba rozczulić) jest zawsze

cudnie naiwna, chociaż ma coś tysiąc lat. Otóż Warszawa staropanieńską modą niezmiernie lubi wszelkie miłosne oświadczenia i dowody, że ktoś za nią śmiertelnie tęsknił. Potrzebna jej tedy jest opowieść miłosna, cicho, miękkim głosem mówiona, opowieść o sercu, co umierało dla niej z miłości, a jeśli nie umarło, to tylko dlatego, by ją ujrzeć raz jeszcze.

O, Warszawo! ta, którą trzeba rozczulać!

Gdyby ci, o najpiękniejsza z pięknych, zaczęli opowiadać biedni ludzie o tem, co im na twarzach i na sercach wypisała nędza, rozpacz, głód, trwoga, lub śmierć, — osiwiłałabyś, o, promienista.

Gdyby ci opowiadać zaczęli o tem, jak widmo twoje, całe z wiślanych uprzedzone mgieł, w obramowaniu wiślanego srebra, zjawiało się po nocach tym, co sto razy umierali z niepokoju i ze śmiertelnych dreszczów serca, — napełniłyby się niebieskie twoje, cudne oczy wielką, ciepłą miłością łez.

Przygarnełabyś to biedactwo, co się tysiącem dróg do ciebie zbiegło, ucałowałabyś ich oczy, co cię przez krew zrozpaczonego spojrzenia wyglądały na widnokręgu, pomieszałyby się wasze polskie, serdeczne, na świecie najczystsze łzy!...

Och, nie lubię tego, kiedy, pisząc, przestaję widzieć czerń liter, bo te niemądre oczy zawsze

nie w porę... O czym tedy myśmy mówili? — O tem, że Warszawie potrzeba rozczuleń. Jest w Warszawie taka Warszawa, która to wszystko wie, ale ta jest tak zapracowana, poważna i surowa, że jej nie sposób trudzić narzekaniem. Niech pracuje w imię Boga; więc tylko tej Warszawie, co się w Wiśle przegląda, w sobie zakochana, tej ślicznej, co omdlewa, czytając wierszyk, w którym rym się z rymem całuje, trzeba wedrzeć się w serce. W języku komedjowym nazywa się to „uwodzeniem naiwnej”, ostrożnem i poetycznie pięknem. W takich rozmowach należy unikać słów gorzkich, albo takich, co sieją zapach krwi, albo takich, które przypominają śpiewy nad grobem. Sprawa jest z czułą rozwódką, co śpiewała pastorałki i miała męża, niewiernego pięknego króla.

Unikając tedy słów zadzierzystych, które drą papier szponem i zawyją czasem, jak ktoś, wielkim nagle pobity bólem, należy opowiedzieć o tem, co było, opowiedzieć zaś krótko i w tym tonie, który ma z racji oszalałych przeżyć lekkie pomieszanie zmysłów i nie wie dobrze, czy płacze, czy się śmieje. Należy zaś opowiadając, od czasu do czasu, tak jak się pokazuje podczas odczytu obrazek na ekranie, zdjąć but i ukazać zdumionemu słuchaczowi, że w lewym niema miliona, we wnętrzu zaś prawego niema brylantów, tylko kawał starej tektury, która, wedle

doświadczeń domowego przemysłu, wybornie udaje stateczną tężyzną skóry. Potem należy wezwać dziesięć tysięcy świadków, którzy stwierdzą, że ci, zmrożeni chłodem przyjęcia, wrócili do Warszawy po prawowitą własność swoją, bez której żyć nie mogą, bo po własne serca, zostawione z ufnością na zakład powrotu i że tam, gdzie ich los polski nieszczęsny zaniósł, pracowali bez wytchnienia. Świadców stanie tylko dziesięć tysięcy, bo drugie dziesięć tysięcy umarło na wygnaniu, unosząc zapewne do grobu w lewym bucie miljon, a w prawym brylanty. Rzecz jest prawdopodobna, mimo tego, że wielu chowano bez butów. Ci byli obłudni, nawet wobec grobu.

Niema takiego statystyka, któryby, żyjąc sto siedem lat, zdołał obliczyć ilość pracy polskiej na wygnaniu, ująć w jeden doniosły i wziosły hymn rachunku, niepoliczone wysiłki jednej rwącej strugi potężnej polskiej rzeki. Kiedyś to się wszystko okaże i zdumieni ludzie dowiedzą się, że gdzieś w Charbiie, gdzie się podobno ziemia kończy, duch polski nagle poczuł się w niezmierzonej swojej mocy zapragnął nauczać i krzepić i rzesze rozpierzchnione wiązać w jedno. Więc się najmilszi szaleńcy zebrali na naradę, która, prowadzona o tysiąc mil od Warszawy, nie była długa, lecz zwarta i owocna, i postanowili wydawać polskie pismo tam, gdzie się,

jako rzekłem, ziemia kończy. I wydawali pismo, najdziwniejsze na świecie, pismo doskonałe, rozumne, w którym było wszystko, co polskiemu, zniekanemu sercu było potrzebne — i niedrukowane. Ktoś pisał sercem artykuł, czy wiersz, a ktoś drugi rysował literki, jedna po drugiej, jak litery druku, ktoś inny rysował obrazki, inny pracowicie czynił co innego — ten serdeczny, bezcenny twór w setkach egzemplarzy biegł po drogach i wołał i świecił.

Jestem człowiek śmieszny, którego rozrzuwniło to pisemko, bo się nie znam na innej robocie, stokroć większej. Przyjdzie kto inny i opowie; tysiące zaświadczą, każdy o sobie, lub o innych i pewnie wtedy Warszawa się rozczuli i gotowa tych spracowanych ludzi w nadmiernem uniesieniu powitać, — Jezus, Marja! — prawie tak, jak Messalównę... Toby było za wiele! Stanowczo za wiele! Wystarczy wyciągnąć do nich rękę i mocno uścisnąć.

Widocznie jednak Warszawa, jak zauważyłem, zastrzega sobie, i słusznie, czas do namysłu; jeszcze nie wszyscy powrócili, tych zaś, którzy już są, spotykają mimo wszystko wprost rozczulające dowody pamięci niezagastej, pamięci z całego serca. Jednego z wybitnych pisarzy powitał, wśród ogólnego milczenia, dziwnie do niego przywiązany, krawiec, lecz uniesienie, z jakim mu padł w ramiona, świadczy, że sto



tysięcy rodaków wybrało do okrzyku niewinne i proste serce krawca.

Po stwierdzeniu, że pod pancerną płytą serca płonie iskierka, co się w płomień miłości rozżarzy, godzi się już wreszcie opowiedzieć, z jasnym i promienistym uśmiechem na przybladłej nieco twarzy, opowiedzieć, jak można tylko najweselej, by nie truć szczęśliwej chwili spotkania, — o tych chwilach tragicznych, które z oddali dają z siebie pozór koszmaru, co, śmieszni w kształtach pokręcony, wije się z wściekłości, że mu uszła ofiara.

I nietylko uszła, lecz i pisze.

## II.

Powszechnem było dotąd przekonanie, świetność Kijowa ukryta jest w Złotej Brami, a jego rozpacz w powieściach panny Heleny Mniszkówny; zaśniedziały te opinie uległy jednakże zmianie, bo choć nie przybył podczas wojny drugi taki zabytek, rozpacz Kijowa zwiększyła się przez przybycie kilku innych powieściopisarek. Nie zmąciło to jednakże wcale radosnej pogody miasta, które wlaźło nogami w Dniepr, głowę zaś ustroiło w kokosznik ze złotych kopuł; wcale piękne miasto, będące pod

opieką spiżowego świętego Włodzimierza, który co wieczora rozpala na spiżowym krzyżu, służącym mu jako oparcie, kilkaset elektrycznych lamp, aby było po rosyjsku ładnie; poza tem czuwa nad miastem jakiś święty nieboszczyk w Pieczerskiej Ławrze, któremu z głowy sączy się wiecznie olej. Jest to, jak dotychczas, jedyny człowiek w tamtych stronach z olejem w głowie.

Żyło się tedy w tym Kijowie jako tako, wcale zresztą przyjemnie, grzęznąc w rozmięczonym asfalcie w lecie, łamiąc od czasu do czasu nogę w zimie na straszliwych ulicach kijowskich, które mają tę głupią właściwość, że wszystkie wiodą w górę.

Że jednak wszystko się kończy, skończyło się tedy i w Kijowie.

Stare to dzieje dokładniejszego niegodne wspomnienia. Tragiczne sprawy zaczęły się od początków małych i niepozornych w owych czasach, kiedy nagle piękne miasto poczęło szarzeć od nadmiernej liczby szarych szynelów bohater-skich dezertarów, sprzedających papierosy. Czasem ten drobny i wdzięczny handelek uliczny poważniał i uwodził kupujących świetnym połyskiem srebrnego kandelabra, lub miękkością damskiego futra, którego prawowita właścicielka w przewiewnym stroju lady Godivy z Coventry odesłaną została z pustego zaułka do domu.

Wielu zresztą uczciwych ludzi chodziło w owym czasie nago, co przestało być wreszcie zbytnią sensacją.

Kijów ożywił się nieco dopiero w czasie utworzenia Republiki ukraińskiej po mianowaniu ministrami kilku studentów Uniwersytetu, którzy, przerwawszy studia, musieli uczyć się znów, przyzwoitość bowiem wymagała, by ukraiński minister nauczył się ukraińskiej mowy, co dotąd nie było w modzie. Trochę tam później wśród tych wybitnych mężów stanu zaszło drobnych nieporozumień, prokurator wołał nadaremnie jednego z ministrów bolesnym głosem, aby ten roztargniony człowiek oddał pięć milionów ohydnie drukowanych ukraińskich pieniędzy, ten jednakże nic mu nie odpowiedział, rozumując słusznie, że człowiek, mający pięć milionów, nie będzie gadał z byle kim. Sprawy takie nikogo dłużej nie zajmowały, bo w powietrzu poczęło coś krążyć, z pod ziemi słychać było szmery, niebo nieco pociemniało, a noce poczęły się nudnie dłużyć. Po zawalonych śniegiem, nieczyszczonych, wzdętych w straszliwe wały ulicach zaczęła krążyć plotka, szepcząca, nasłuchująca, czujna, zalekła, szybkonoga i denerwująca. Nikt niczego nie wiedział i wszyscy wiedzieli wszystko; wracająca z targu kucharka, przyniosłszy krwawy ochłap mięsa, przynosiła równocześnie krwawe wi stróż domu, zawsze „wtajemniczony”.

robił minę tajemniczą i wylękłemu lokatorowi litościwym spojrzeniem groził śmiercią wymyślną, na raty.

Na widnokręgu w istocie pociemniało; rozsiadły na wyniosłych wzgórzach Kijów patrzył tysiącami oczu swych okien na rozległy step, co się położył po drugiej stronie rzeki, skąd miało coś przyjść. Długo jednakże nic nie przychodziło, to zaś niepokoiło najbardziej, ludność bowiem, objedzona plotką, osłabła i, w braku innej roboty, przędła nowe wieści, czyniąc przypuszczenia na temat przyszłości.

Przyszłość zaś była straszniejsza od rzeczy strasznych, nikt bowiem, wytwórca nałogowy najczarniejszych nawet myśli, nie mógł wyprokować dwutygodniowego bombardowania miasta. Zaczęło się ono jednego wieczora około godziny siódmej wieczorem, kiedy ulice są rojne. Miasto dawno już przywykło do brzęczenia kul karabinowych, co nie czyniło większego wrażenia na doświadczonym obywatelu niż brzęczenie much, lub jeśli dawka strzałów była ponad codzienną normę, niż strzały rakietowe na niedzielnym festynie. Strzelano zwykle w nocy, pora zaś ta nie była obojętną jedynie dla spóźnionego przechodnia, dla reszty spokojnych obywateli przechodziła bez wrażenia. Teraz jednakże przejęli się nagłą salwą działową wszyscy bez wyjątku, co pojmie każdy, kto zna głupie na-

rowy szrapnela, który bezmyślnie, z idjotycznej uciechy chichocąc, leci bez celu w stronę czarnego, nieruchomego zbiegowiska domów.

Takie właśnie oszalałe szrapnele poczęły gwizdać ponad miastem, nikt zaś nie wiedział, ani kto strzela, ani do kogo. To tylko się wiedziało, że szrapnel, prochem obżarty, jest to bydlę nierozumne, które nie pozna adresata i że uczciwe poczucie, że się nie jest ministrem, którego chcą zabić, nic nie pomoże. To też na wielkie, gwarne, lubiące włóczęgę po ulicach miasto padł nagle lęk, ten najgorszy, bo bezradny i zrozpaczony, lęk, w niebogłosy wołający o pomoc, rwący pędem po ulicach, tulący się do muru, pobladły strach, patrzący oszalałym wzrokiem w czarne niebo, pod którym dzieje się coś niepojętego.

To było pewne, że ktoś nie na żarty oszalał w ataku nagłej furji, strzela z dział; więc i ulica wpadła w szal; pobladli ludzie poczęli gnać we wszystkie zaułki, kierując się w stronę mieszkań w, tem zawodnem przekonaniu, że kto dopadnie mieszkania, ten już jest bezpieczny. Przejście przez ulicę było jednakże nie łatwem, bo jeśliś już dopadł swojego zaułka, wyszczerzał nagle z jego gardzieli stalowe zęby maszynowy karabin, jako asekuracja śmierci, w razie, gdyby zawiodły szrapnele. Te zaś dawno już nie miały takiego dobrego dnia, uradowane, że znowu powracają do znaczenia po owych smęt-



nych czasach, kiedy armatę z zaprzęgiem można było od wolnego rosyjskiego bohatera kupić na froncie za sto rubli. Szrapnele dodawano gratis, wobec czego w tej chwili szrapnele oszalały z djabelskiej radości, lecąc jak stado rozwrzeszczanych wron na piękne miasto, nie na jakiś zabagniony okop. Prezentowały się też przerażonemu, niemal milionowemu miastu z najpiękniejszej strony, rozwijając przede wszystkim talenty swoje muzyczne, które rezonans ogromnych pudeł kamienic doskonale uwydatniał.

Kiedy więc działo wypluło z rykiem z gardzieli swojej taki „miejski” szrapnel, on gwizdnął najpierw z radości, wydostawszy się na wolność, zachichotał potem piekielnym śmiechem, że aż mróz przechodził po kościach, ujrzawszy w pędzie wspaniały cel, jak gdyby klasnął następnie, już lotem obłąkany i rwał się z szumem, hukiem, wrzaskiem, z głębokim jękiem, z towarzyszeniem wszystkich głosów, jakie wydaje śmierć. Za nim biegł dziesiąty, dwudziesty, setny, każdy następny jakby wścieklejszy i bił gdzie mógł: tłukł szalonym łbem w mury kamienic, rwał się nad dachami, błędził w pędzie wśród ulic. Wtórem tej djabelskiej pieśni oszalałego ognia był wielki, urywany ludzki krzyk, czasem krótki jęk, dźwięczny, lecz przejmujący łoskot padających szyb, krótki, potwornie wrzaskliwy terkot żelaznych sklepowych rolet, warczenie samochodów, uga-

niających w panice. Zziębnięty tłum rozprysnął się wreszcie i wsiąkł w czeluście domów, które stały ciemne, jak gdyby oświetlone okno mogło sprowadzić nieszczęście.

Jak po nagłej burzy, która wystrzeliła stem piorunów i minęła, deszcz jeszcze ostatnie wylewa krople, tak przez tę pierwszą noc, która znaczyła początek swój granatami i szrapnelami, padały tylko strzały karabinowe; rzadka słychać było w oddaleniu nagłą, ohydłą czkawkę karabinów maszynowych — znów przez długie godziny tylko stukanie zwykłych kul, co było nudne i usypiające i nie mąciło głębokiego rozmyślenia, co się to właściwie stało i co z tego będzie? Po naradzie wszystkich lokatorów każdej kamienicy, gdzie do godności marszałka, oglądanego z nabożnym podziwem, podnoszono przez aklamację jakiegoś nieszczęsnego „praporczyka”, doszli wszyscy do zrozumienia bardzo prostej strategicznej sytuacji, że część ukraińskich wojsk niezadowolona, strzela z armat do wojsk zadowolonych i chce koniecznie trafić z wielkiej armaty w cały gabinet ministrów, rezydujących w brudnym hotelu Savoy. Taka piękna idea była jednakże wcale trudną do przeprowadzenia, ponieważ granaty, posyłane z za miasta, nie mogły zastać żadnego ministra, wobec czego z prostej wściekłości zawodu mordowały uczciwych ludzi.

Nikt nie wiedział, skąd do miasta strzelają, gdyż strzelano ze stron kilku, pewność zaś, że mierzą „z za Dniepru”, była dla tak wybitnych, jako my, strategów pociechą i wiadomością małej wartości. To było pewnem, że miasto stoi na górach, jak kamienny bałwan, którego nie ocali święty z oliwą w szlachetnej głowie. Gdyby to było na froncie, człowiek by uciekł starym, dobrym zwyczajem, tak było trudniej. Rozsądnych ludzi pocieszało jednak słuszne rozumowanie, że, nastraszywszy miasto, dadzą sobie z głupiem tem strzelaniem spokój, trudno bowiem w ogromnem, szeroko rozsiadłem mieście wyszukać czarnem okiem armaty tego, którego właśnie się szuka, mieszkańcy zaś winni byli Bogu ubogiego ducha. Ten jednakże, który ma armatę, nigdy nie był filozofem; zauważyć było można ponadto, że w huku armat niknie i głuźnie nawet ta szczypta rozsądku, którą każdy człowiek posiada do domowego użytku. Przekonanie to utrwaliło się niebywale wyraziście zaraz nazajutrz rano, gdy około godziny dziesiątej zaczęły szaleć za miastem całe baterje, strzelające dziś już z pewną metodą oblędu.

Wczoraj to była tylko pełna muzycznych efektów „uwertura dramatyczna”, dziś rozwijało już tragiczny motyw przewodni konsekwentnie i z pewną precyzją. Można było zauważyć, że

pewne punkty miasta cieszą się niebywałym zajęciem i troskliwością nieprzyjacielskiej artylerji; więc przedewszystkiem wszystkie zabudowania rządowe, dworce kolejowe i wszystkie przypuszczalne schroniska ówczesnego ukraińskiego rządu; że jednak chciano godzić celnie, więc pociski próbne wysyłane były w wysokie, okazałe domy, w takie szczególnie, które nadmierną swoją wysokością mogły słusznie razić poczucie równości u oblegających miasto. Jeden z takich domów (ponieważ wielcy ludzie mają szczęście, więc w nim mieszkał Weyssenhoff) otrzymał ze dwadzieścia gwałtownych upomnień i pociski wyrywały z niego płatami ceglano-cielsko. Jeden z pierwszych wpadł do cichego mieszkania twórcy „Sobola panny”, łbem twardym ścianę rozbiwszy, gwizdnął z obłąkanej radości, poznawszy, jaka mu przeznaczona była ofiara i pękł z hukiem i z jękiem z nadmiernej żalości, że jej nie zastał w domu. Trudno, żeby najświetniejszy piewca łowów sam się dał upolować, choć za ścianą, śmierci był bliski.

Kijów jest to miasto spokojne i widać było, że może znieść wiele; wreszcie i jemu było tego zanadto. Centralna ukraińska Rada, po długim wahaniu, zawrzała słusznym gniewem i genialnie wykombinowała, że jeśli do niej strzelają z dość wyraźnym zamiarem pozba-

wienia jej miłego żywota, słuszność nakazuje, aby i ona zaczęła strzelać. Bohaterskiemu temu przedsięwzięciu racji odmówić niepodobna, z tem zastrzeżeniem, że oblegający strzelali, jak w 'pie-rzynę, Kijów zaś postanowił strzelać w pustkę, do niewidzialnego nieprzyjaciela, który miał do dyspozycji cztery strony świata i mógł krążyć swobodnie dokoła miasta. To postanowienie obrony rozpoczęło dopiero nieszczęścia prawdziwe; broniący bowiem miasta kryli swoje baterje za domami i strzelali ponad dachy za Dniepr, oblegający zaś rozpoczęli wyszukiwanie miejskich gniazd armatnich, tłukąc, gdzie się dało, już bez uwagi na nic. Celem stało się całe miasto, jak długie i szerokie, całe bowiem zaczęło pluć ogniem poza swoje granice. Nieszczęsny był dom, za którego murami ustawiono kilka armat; mury trzęsły się, jak w febrze, szyby dzwoniły nieustannie, tynk leciał ze ścian, straszliwy huk napełniał wszystko. Po godzinie takiego strzelania, baterja oblegająca wypatrzyła wreszcie ukrycie i poczyniała w niebić szaleństwem ognia. Wtedy armaty „miejskie” brały nogi za pas i przenosiły swój strzelający kram w sąsiednie ulice, niestety dom, indywiduum nieruchome, sterczał w tem samym miejscu i jęczał teraz i drżał, bity dziesiątkami pocisków, i szalał w swoim wnętrzu rozpaczą, napełniał się krzykiem i jękiem, głośnym, nie-



możliwym płaczem kobiet i ustawicznym kwileniem nieszczęśliwych dzieci.' Zrozpaczony ludzki tłum zbiegał pędem do piwnic, wilgotnych i ciasnych i tam spędzał całe dni i noce, drżący od zimna, odurzony stęchlizną, wygłodniały, niezmiernie zmęczony; mówiono nerwowo szeptem, czasem tylko ktoś głośno zakrzyknął, kiedy pocisk uderzył w dom, sypiące się zaś gruzy sprawiały wrażenie że i to ostatnie schronienie, sklepienie piwnicy, za chwilę runie na nieszczęsne ludzkie głowy.

Czasem jakiś człowiek, bardzo odważny, lub bardzo już zgłodniały, czając się przy murze, wypelzał na ulice, puste i straszne; czasem go stamtąd spędzały kule maszynowych karabinów, czasem zaś przynosił wieści, które w katakumbach piwnic rosły do potwornych rozmiarów i zapowiadały jeszcze gorsze rzeczy, niż te, które się wydawały już najgorszemi. Czasem zjawiał się poseł z innej dzielnicy miasta, który dotąd był odcięty od swego mieszkania i teraz wracał bohatersko; ten przynosił wiadomość o stosach trupów, zalegających ulice, lub o pożarach wielkich domów. Wprawdzie wiele tych nieboszczyków chowa się zdrowo do dzisiaj, owe zaś zgorzałe gmachy rosną w cenie, nie było jednak w owych czasach niedowiarków. Gdyby kto powiedział, że mu przestrelono trzy razy serce, uwierzonoby równi zmęczone

oczy widziały tylko trupy i ognie. Każdy oczekiwał jedynie swojego czasu.

Noc przynosiła nieco ukojenia. Należy przyznać owym oblegającym, że mordowali miasto tylko w dzień, z nastaniem mroku jednakże sami czcili radośnie pracę dnia, miastu zaś dawano sposobność korzystania z mądrej rady nocy, aby się zastanowiło nad swoim losem i by się poddało. Zrozpaczone miasto byłoby to uczyniło bez wahania, jednakże jego obrońcy postanowili nie dać za wygraną, wobec czego z nastaniem dnia, zawsze z kolejową dokładnością, rozpoczynano około godziny dziesiątej bombardowanie. Życie zaczęło się systematyzować. Ponieważ nie było widoków na szybkie załatwienie sprawy, przemyślny człowiek, który chciał jeszcze pożyć lat kilka, począł życie owo pod armatami urządzać biurokratycznie; o jednej godzinie szedł spać, o jednej jadł, o jednej, znaczonej pierwszym „porannym” strzałem, uciekał do piwnicy.

Zaczął się na zupełnie nowych postawach towarzyskich oparte życie piwniczne, pełne romantycznego uroku w swojej nienagannej prostocie; cały dom wchodził z sobą w zażyłe stosunki bez uwagi na stanowisko społeczne człowieka, zmienionego w pieczarkę. Piwnica stawała się salonem, gdzie w złotym świetle skwierczącej łożówki wiedziono w rozmaitych

językach dyskursy na tematy oddalone, jak literatura, lub bliższe, jak zdobycie kawałka zapleśniałej kiełbasy. Szerzyły się tam równi w formie lekkiej i wytwornej wiadomości w owych czasach pożyteczne, jak na przykład, że operacja, czyniona na człowieku, ugodzonym odłamkiem szrapnela w brzuch, jest znacznie trudniejszą, jeśli indywiduum się przedtem obżarło. Najgwałtowniej szerzyły się wiadomości pożyteczne z dziedziny strategii. Każdy wtedy był doskonałym znawcą i łągał na potęgę, mimo tego jednak po tygodniu oblężenia słuchem rozpoznawać umiałem, czy „strzelają do nas, czy „od nas”, czem strzelają i jakim kalibrem (o!); w piwnicy byli po pewnym czasie sami generałowie artylerji weterani osiwiali w bojach. Ludzie mrukliwi, niezdolni do salonowej konwersacji, chodzili nerwowo z kąta w kąt i liczyli strzały, żegnając się po każdym dziesiątym.

Szczególnie miłe były wieczory, kiedy damy, podobne do aniołów, które przyszły odwiedzić gnijących w lochach więźniów, zaparzały herbatę i mówiły słodko o tem! że jeśli trzeba umrzeć, to już najlepiej razem. Nikt tam z nas wprawdzie razem nie umarł (jeden tylko, zaręczwszy się w mrokach katakumby, ożenił się) — można jednak łatwo było postradać rozum, kiedy się około północy salon zmieniał we wspólne cubiculum, na materacach, lub krzesłach i kiedy

cię, znękany człowieku, los położył głowa przy głowie przy niewieście kształtnej, jak armata bolszewicka...

I bombardowanie ma swoje powaby.

### III.

Zajęciem podczas bombardowania miasta zgoła niewdzięcznym, niemal wcale sensu nie mającym, jest pisanie wierszy. Oszalałe warkotanie karabinów maszynowych, odbywające się bez najmniejszej uwagi na zasadnicze prawidła harmonji, mąci do tego stopnia poczucie rytmu, że tylko przy wielkim wysiłku można pisać jedynie „wierszem wolnym”. Rymy wskutek idjotycznego hałasu, wyprawianego przez śmierć, są politowania godne. Wtórem dogodniejszym przy pisaniu jest poważny, skupiony basso profundo armaty, wystrzałami zaś można mierzyć strofy. Są to spostrzeżenia, oparte na głębokim doświadczeniu, tak, że można było w owym czasie rozpocząć wszelkie pismo tym bohaterским zwrotem, jakim pewien Gaskończyk rozpoczął list do kochanki: „Piszę do ciebie z pistoletem w jednej ręce, a z szablą w drugiej”

Z ohydną rozpaczą przypomniałem sobie te, ociekające krwią, słowa, kiedy mi jednej nocy

dano zardzewiały karabin w jedną rękę, nie wychodzącą z pochwy szablę w drugą i kazano iść na pół nocy „na wartę”

Każdy dom przez noc całą utrzymywał taką groźną wartę, a warta miała pod karą infamji ledz trupem na schodach, możliwem bowiem było, że bandy szumowin, złożone z dezertarów i więźniów, posiadających broń, jako pokrywkę napadu mundur, jako pozór zaś rewizję, gotowe rabować domy w niespokojnym czasie. Spojrzałem tkliwym, z lekka obłąkanym wzrokiem na szablę, potem na karabin, potem długo, długo patrzyłem w niebo. Zadrżeli z wielkiej dumy w grobach przodkowie, ujrawszy rycerską moją postać. Wstąpiła tedy we mnie odwaga płowego lwa; wyteńczywszy wszystkie siły, dobyłem szabli i ze wzruszeniem, któreby zdumiało i rozczuliło w tejże scenie Frenkla, mówiłem jej:

„Hej, hej, pani Barska, pod Słonimem, Podhajcami, Berdyczowem, Łomazami...”

Ale szabla nie zadrżała ze wzruszenia, bo było to tępe bydlę, nadkruszone zardzewiałe, jak stara chórzystka, choć z pewnością widziała Berdyczów, gdzie handlują też i starem żelazem.

Uczestnicy warty ściągają ze wszystkich pięter i ze wszystkich piwnic; zbroje są niekompletne, bo senni bohaterowie są bez kołnierzyków, jak gdyby i umrzeć nie można było w stroju



nienagannym. O, Aramisie, który chustką z bra-  
banckich koronek dawałeś znaki, przyzywając  
pogardliwie śmierć !...

Takie podłe czasy !...

Przychodzi dowódca warty i szeptem poucza,  
że nie wolno palić papierosów, stanowiących wi-  
domy cel i że w razie napadu należy strzelać  
bezustannie do ostatniego naboju. Potem do-  
wódca warty idzie spać, jak przystało na czło-  
wieka wyższej rangi w pięciopiętrowej kamie-  
nicy; „warta” zaś zaczyna działanie. Rozpo-  
czynano się ono od roztropnego rozpatrzenia  
sytuacji, zbadania wszystkich drzwi i schodów,  
instynkt zaś wytłómaczył mi w jednej chwili,  
że cała warta ma jedno niezłomne przedsięwzię-  
cie: uciec przy pierwszym alarmie na cztery  
wiatry i w cztery strony kamienicy. Po do-  
kładnem rozpatrzeniu tego zamysłu, poznałem,  
że jest genialnie prosty i głęboko dowcipny.  
Dodaję nawiasem, że tak było jedynie w po-  
czątkach oblężenia, później (co opowiem) i w in-  
nym, bardziej bohaterskim domu, było naprawdę  
bohatersko.

Stoję tedy, jak ułan na widecie, na ciemnych  
schodach i obmyślam fortele na wszelki wypa-  
dek; czas się dłuży i jest zimno dlatego, że tak  
było istotnie, i dlatego, że na warcie tak jest  
zawsze. Oparłem się „stylowo” na zimnej lufie  
karabinu, szablę powiesiwszy na zamku okna,

aby już sam widok jej poraził wrogów. Pozycję miałem dogodną, bo wprost oszklonych drzwi głównych, tak, że krwawy nieprzyjacielski generał dlatego dotąd żyje, że wtedy na mnie się nie natknął. Los bitwy byłby przy tem zależny i od tego, ktoby z nas dwóch prędzej uciekł. Odwaga zresztą rodzi się w potrzebie, czułem też ją, napływającą ostrożnie w stronę serca, które wietrzyło krew. Poza sobą, w życiu miałem już dwa trupy: dwa podolskie zające, którym to musiało zrobić chyba przyjemność, że zginą z mojej ręki i same dały się zamordować; co do jednego zaś mam podejrzenie, że to był stary łajdak zając, taki z Dygasińskiego, który skonał ze śmiechu.

Mija godzina jedna i druga i jakoś nic; czasem po bruku ulicy zacłapie szkapa ulicznej pikiety, czasem w oddaleniu o ściany domów obija się groch kul. Wtem, w jednym załomie korytarza miga niespokojny błysk światła, po ścianach przebiegły wydłużone cienie, słysząc mocno podejrzanę szmery. Ja zadrżałem i mój karabin zadrżał; poleciałem się Bogu, przebaczyłem moim wydawcom i ruchem Beghery począłem się skradać w stronę podejrzaną, gdzie szmery coraz to rosły, jak gdyby się odbywała narada; było prawdopodobnem, że, korzystając z niedbalstwa reszty straży; której od pewnego czasu nie widziałem, ktoś przyszedł od strony

pustych ogrodów i wszedł, wyłamawszy cicho okna, teraz zaś obmyśla szczegóły ataku.

— Kto tam na schodach? — zapytuję cicho, głosem umyślnie drżącym.

Ten ktoś jest tak bezczelny, że na moje przyjacielskie zapytanie nie daje odpowiedzi.

— Kto tam? Odpowiedz, bo strzelam! — mówię po raz wtóry. Rzecz prosta, że wystrzeżliwszy, byłbym rzucił karabin i racjonalnie uciekł, wróg jednak nie mógł tego wiedzieć. Aż się z załomu schodów wynurza jakaś postać i powiada cicho:

— Nie krzycz pan, sto rubli do bici

Mój karabin udławił się własną kulą i zamarł.

Straż przysiadła w kącie w całym swoim bohaterским składzie, do którego przyłączył się stróż kamienicy i gra wedle wszelkich reguł klubowych. Towarzystwo jest trochę mieszane, co na grę nie ma wpływu, bo obok kart leżą jak śpiące psy, browningi. Komendant straży, który się zjawiał na „inspekcję”, znalazłszy wszystko w należyтым porządku, został mianowany członkiem klubu honoris causa i gra z wielkim wdziękiem. Gdyby w tej chwili zjawiał się nieprzyjaciel, nicby się straszliwego stać nie mogło, nieprzyjaciel bowiem nosi zawsze karty w cholewie buta i gra bardzo wysoko, rzucając całe arkusze „kierenek”. Porozumienie nastąpiłoby w tej chwili. W rezultacie stróż, wielki majster, ograł

całą straż z komendantem na czele. Zdaje mi się, że wygrał też ze dwa karabiny i trzy szable.

Sielanki te były wówczas możliwe, bowiem dobierano się dopiero do dalekich przedmieść, i jak zadzierzysta kość, dławił wróg gardziele dalekich ulic. Rano zaś znów grzmiał oblegający ze stu armat i rozbijał złocony łeb nieszczęsnego miasta. Kanonada rosła crescendo, do szczytu szaleństwa dochodziła w porze obiadowej, słabła pod wieczór; wielkim, wyjąłym brytanom armatnim wtórowały wciąż małe pieski maszynowych karabinów, lub nierasowe kundle, opancerzone automobile, kaśliwe i wściekłe.

Aż i na nas przyszła smutna kolej.

Bohaterscy obrońcy, zamiast uczynić z miasta wycieczkę i rozprawić się w polu z armją obleżniczą, chowali się coraz skrzętniej za mury, zewsząd naciskani. Jednego dnia wyciągnęli cztery ochryple armaty i ustawili je na placyku za naszym domem. Armaty te szybko dostały ostrego szału i kołowacizny i wyły w stronę rzeki. Dom drżał w posadach, szyby jęczały przerażonym dźwiękiem, nagła zaś rozpacz skrzyknęła wszystkich obłąkanym głosem do piwnic, gdzie również wytrzymać było trudno; głowa pękała od huków, wszystkich zaś ogarnęła nieznośna trwoga na myśl, że się wkrótce staniemy celem artylerji nieprzyjacielskiej. Na szczęście zapadł mrok i dano sobie z jednej

i z drugiej strony ze strzelaniem spokój. Wzburzony odmęt przerażenia począł się wygładzać w nocnej ciszy i z czeluści piwnic poczęli, jak z grobu, wylazić ludzie, naprawdę do nieboszczyków podobni, trochę bladzi z zielonym, łagodnym odcieniem, trochę żółci, w rozmaitych zresztą trumiennych kolorach, aby przez niewiele godzin odetchnąć lepszym powietrzem i leżąc na materacach w przedpokojach. Przebywanie w mieszkaniach było niemożliwe, bo onegdaj pocisk jakiś samotny, jak samotnik odyniec, stalowym ryjem rozrył ścianę naszego domu, w którym z przestachu wyleciały z niesłychanym szklanym wrzaskiem wszystkie co do jednej szyby. Dla tego właśnie pocisku mam dziś serdeczny sentyment, mimo wybitych szyb. Był to pocisk o zacnym sercu, pocisk przyjacielski, z pozoru tylko łajdak i chamsko natarczywy, — on bowiem, krzywdy nikomu nie uczyniwszy, ostrzegł wszystkich, z hukiem zapowiedziawszy, że dom nasz, dotąd bezpieczny, przestał być bezpiecznym, że jakaś armatnia, bezzębna, z czarnem podniebieniem paszcza skierowana jest w naszą stronę. Gdyby nie on, przysłuchiwałbym się z niebieskiej loży przez lat jakiś tysiąc, do znudzenia, rozprawom Rady miejskiej nad sprawą teatralną, a szlachetny, gościnny feljetonista jednego z pism warszawskich miałby o jedno zmartwienie mniej, że tyłu Ga-



licjan, samo lichy wie, po jakiego licha, przyjechało do stolicy.

Po tem zacnem ostrzeżeniu spaliśmy, jako naród koczowniczy, na podłodze, w przedpokojach, rano zaś na wezwanie pierwszego wystrzału, porwawszy garderobę, zbiegaliśmy w mroczne podziemia. Kiedy jednak pod wieczór ustawiono cztery śmiesznie krzykliwe armaty obok naszego domu, nazajutrz dom nasz znalazł się na czarnej liście pierwszy z brzegu i to bez żadnych uprzedzeń, lecz co gorsze, nie został skazany na rozstrzelanie w czasie zwyczajnym, nieco po dziesiątej! Tego dnia (atrament mój przybladł w tej chwili!) pierwszy granat był mój, osobiście mój, dla mnie przeznaczony, znacznie wcześniej, niżli to było dotąd.

Śniło mi się właśnie coś śmiesznie miłego, kiedy cisnęło mnie coś o ścianę, coś nademną zawyło, coś wrzasnęło nieludzko i ryknęło grzmotem, potem zaczęło coś grzmieć i coś zaczęło się walić z wściekłym impetem; ujrzałem nagle najpierw czerwone, wirujące kręgi, w ich zaś pierścieniu, w gęstym obłoku białego pyłu, z tego powodu podobną do posągu i jak posąg nieruchomą, moją żonę. Granat uderzył w pokój sąsiedni, wywalił ścianę i rzygnął plugawą strugą cegieł na pokój; impet tego oszalałego zwierzęcia ze stali rozbił się o ścianę,

która nas chroniła. Leżało teraz to bydło, w dziesięć części rozerwane, wśród gruzów, wśród pobitego szkła, porwanych książek i obrazów; jakiś paraliż powykręcał meble i dziwnie udrapował portjery. Za to na boży świat, na marcowe, śnieżące niebo otworzył się widok przez wybitą ścianę, jak przez loggię renesansowego pałacu, z którego jednak, z garderobą w rękę trzeba było uciekać w te pędy, bo pociski bolszewickie mogły mieć baranie narowy i gdzie jeden polazł, tam zaraz lezi ich całe stado.

#### IV.

W piwnicy kijowskiej, do której schowaliśmy się w czasie bombardowania bolszewickiego, patrzono na nas z trwożliwym szacunkiem i z tem dobrem współczuciem z Rochefoucaulda, które spostrzegło, że dość jesteśmy silni, by znieść cudze nieszczęście; patrzono na nas z miną łagodnie uśmiechniętą na temat: dobrze, że to oni, nie ja! Potem zaczęły się wywiady:

— Co pan czuł, kiedy strzeliło?

— Czy bardzo się pan bał w pierwszej chwili, czy potem?

— Czy miał pan poczucie wieczności i przeczucie śmierci?

Nie mogłem odpowiadać logicznie, bo miałem w głowie szum djabelski, zauważyłem jednak, że pytający mnie, w tej chwili już staro, doświadczonego rutynistę, szczękają zębami z doskonałym wdziękiem i boją się teraz już i za mnie także, ja już bowiem nie miałem powodu. Ktoś tam przyniósł wiadomość, że w mojem mieszkaniu wybuchł pożar; obchodziło to mnie równie tyle, ile nieboszczyka obchodzi sprawa, czy go wystawią na mróz, czy na gorąco.

Czekano teraz nawzajem swojej kolei; dom nasz stał się w oczach nieprzyjacielskiej artylerji nad miarę popularnym, czego pojąć nie mogę, bo buda była obskurna; coraz to przełatywał ponad nim pocisk, jak oszalały, widmowy kruk, i gwizdał z wściekłości, że go minął; inny nagdryzł komin, inny zarył się niechlujnie w błoto podwórza, zakrztusił się ziemią, potem ją z djabelskim parskaniem wykrztusił z pyska, wraz z ogniem i żelazem czerepów.

Kiedyśmy patrzyli w górę z czeluści piwnic przez okienka, cofnęły się nagle wszystkie głowy, zimną ręką strachu odrzucone w tył, dom drgnął i jęknął, bo się pocisk wgryzł nagle w mansardy i, przez jedno mgnienie tam buszując, ryknął, klasnął i bluznął ogniem przez wszystkie okna. „Mój” pocisk był bardziej stateczny i prosto szedł do celu, ten jednakże był

to pocisk wiercipięta, jakiś nerwowy, trochę niespełna rozumu, jakby mu do łba zbyt mało nakładzono prochów, pocisk bez charakteru i lekkomyślny, gdyż zamiast rozbić ścianę, złamać jakieś krzesło i leż w spokoju, niedowarzony ten pocisk poprzebijał wszystkie cienkie ścianki, zgniótł na miazgę, co tylko było, i zygakiem chyba biegł przez biedne studenckie izdebki. A w dodatku był to pocisk „swój” Ukradziona artylerja ukraińska, broniąca miasta, strzelała z taką wprawą, że, „zdołowawszy”, rozbijała kijowskie mansardy, wobec czego artylerja nieprzyjacielska rozbijała pierwsze piętra. A porządny człowiek był w środku.

Wreszcie zaczynało to być straszne. Jeden dzień, dwa dni, niechże będzie, jeśli nie może być inaczej; ale trzynaście dni, to już za wiele. Można było wreszcie umrzeć z głodu, choć dobrzy ludzie ratowali się nawzajem. Jednemu prawdziwemu księciu rosyjskiemu pożyczylem w owym czasie sześć kartofli, zaczęliśmy się jednakże w zielonkawem świetle piwnicy przyglądać sobie wzajemnie, badając ukradkiem, kto jest mniej żylasty i, w ostateczności, jako tako jadalny. Kobiet, przypuszczając zbytnią cierpkość, nie brano pod uwagę. Jeśli nawet było co do zjedzenia, można to było ugotować tylko w mieszkaniu, na to zaś zwykle nie starczyło

odwagi, kiedy na dodatek poczęły padać, jak ciężkie dowcipy, bomby z aeroplanów.

Zdobywcy zaś byli coraz bliżej wnętrza miasta; strzały karabinowe trzaskały coraz bliżej i bliżej, i już za każdym widocznym przez nas węglem ktoś leżał na bruku i strzelał, trafiając zwykle w jakiś parkan, bo zdobywcy wchodzili czujnie, zajmując dom po domu, gdzie w tej chwili zabierano wszystko, co może wystrzelić. Trzynastego zaś dnia pod wieczór zajęto Kijów, zbiedzony, wymizerowany, doprowadzony już do ostatniej rozpacz, głodny, odarty, ze zwi-sającymi płatami tynku, z czerwonymi ranami w murach, z porwanymi drutami telefonów, odurzony i tej nocy oświetlony pożarem wielu domów, zapalonych przez pociski. Tejże nocy wielu, wielu ludzi widziało świat boży przy świetle tych pożarów po raz ostatni.

„Bohaterzy“ uciekli, mordowano tedy najni-winniejszych; każdego spotkanego na ulicy mężczyznę, którego ruchy przypominały zmechanizowane ruchy wojskowe, rozstrzeliwano bez sądu, ustawivszy go pod najbliższym murem. Jakaś straszliwa żądza krwi zalała te straszne, ohydne, dzikie mózgi. „Graduszczyj cham“ upił się krwią i brodził w niej po kolana, krwioki, uśmiechnięty paralitycznie, przemożny, rozjuszony, wściekłe bydlę, urwane z łańcucha, oszalałe w rozpędzie, przed którym padało wszystko



bezwolne i bezsilne. Rewolucyjny potop krwi francuskiej wylany był w imię czegoś wielkiego, wytworzony z gestem grozy wśród oszalałej pieśni, w której był zawarty krwawy, rymowany motyw wyroku. Ci zaś, z pianą krwi na ustach przed się idący, mordowali haniebnie, ponuro, dla rozkoszy mordu i co straszniejsze, — zabijali jak złoczyńcy. Po ulicach drętwiały, niezamkniętymi, okropnemi oczyma w niebo patrzące, niezliczone trupy — nagie. Sześć kul w piersi miał człowiek brat jedynie za to, że miał piękne, świecące się buty. Z powodu tych butów które natychmiast ściągnięto z trupa, z powodu niedziurawego płaszcza robactwo toczyło zwłoki po ulicach.

Przez pierwsze dni bolszewickich owych rządów, salwa padała za salwą w rozmaitych stronach miasta. Mordowano młodych starych. Jakaś wciekła histerycznie Judyta, ohydna w ponurej żądzy krwi, wysyłała na śmierć całe gromady. Potulny słowianin mordował ojca i brata na skinienie rozjuszonyj czarownicy. Działo się to wszystko w prześlicznym ogrodzie dawnego cesarskiego pałacu. Skazani kopali najpierw sami dla siebie groby, potem stawiano ich nad brzegiem dołu i strącano weń uderzeniem kuli. Z wielkiego parku uczyniono okropny cmentarz, na którym trupy, z lekka ziemią przesypane, groziły zarazą wielkiemu miastu. A cza-

sem z pod nasypu dobyła się ściśnięta ostatnim skurczem sina, straszna ręka....

Obok, w cesarskim pałacu rezydowały bolszewickie, rzadko ochrzczone cary.

Byłem w tym budynku w dni kilka po wybuchu rewolucji i abdykacji cara, kiedy w pałacu rezydował rewolucyjny komitet kijowski. Był w nim też i jeden Polak, jedyny człowiek, który nie pluł na posadzki wchodząc, zdejmował nakrycie głowy. Reszta wyglądała i zachowywała się serdecznie po ukraińsku. W salonach, wcale tandetnie umeblowanych, snuły się figury nie z prawdziwego zdarzenia, ale z prawdziwego kryminału.

Szwargocące kursistki i dziwnie młodociane, niechlujne dryblasy redagowały w jednym z salonów żydowskie pismo rewolucyjne, w innym jakowyś drab zabłocony, gotował herbatę. W gabinecie cesarskim, podobnym do lepszego hotelowego pokoju, rezydowały panienki rozchichotane czasem piszące na maszynie. Biórko cesarza zakurzone, smętny grząz, przyczał się w rogu, a pod oknami sypialni, na trawie, leży stłuczone wspomnienie lepszych czasów: melancholiny trup szampańskiej butelki. Na marmurowych schodach plugastwo, błoto i brud. Nie było tylko krwi.

Teraz się po nich lała strugą krew ludzka, ukrajiniec bowiem w ciągu roku dojrzał poli-

tycznie i mordował z lubością, z coraz większą wprawą; cieniutki pokost kiepskiej imitacji kultury obmył we krwi i stanął w bydlecej swojej nagości, śmierdzący wódką i juchtem, zabłocony i opluty, ohydny zrzędzeniem losu podobny jednakże do człowieka. Zwycięski rezun przypomniał sobie dobre czasy, więc nie dość mu było, że zamordował, prawdziwą rozkosz sprawiło mu dopiero wyłupywanie oczów, wycinanie języków, rozprówanie brzuchów kobiecych. Historia najnieszczęśliwszych ludzi na świecie Polaków na Ukrainie, Wołyniu i Podolu, potem krwawa opresja Galicji, była wielkim rozszerzeniem ówczesnych historii kijowskich. Przywykło się w owym czasie do rzeczy strasznych, dusza ludzka nie może jednak znieść już nawet nie widoku, lecz słuchu o tem czego dokazać potrafił dziki łotr ukraiński. Płakać się chciało wówczas nad zhańbi iem człowieczeństwa, zgrzytało się zaś później zębami, kiedy rozumni, wielcy egoiści ententy rozmawiać zaczęli ze zwierzem, dzikszym od najdzikszego kafra, lecz chytrym, jak plugawy wąż, z okrwawionym opryszkim, który przeniesiony na bezludną wyspę, zdemoralizowałby uczciwie mordujące tygrysy.

Pojałem w owym czasie najokropniejszą z nowel Maupassanta, w której człowiek biczuje, wiszącą na ściśle, odciętą rękę swojego wroga,

który zabił zapewne jednego tylko człowieka. Cóżby należało uczynić z tymi? Niech im Bóg przebaczy, jeśli zdoła....

Nigdzie już na świecie stworów takich się nie najdzie. Ludożerca nie jest temu winien, że nim jest; kiedyś zasię jakiś misjonarz mu to wytłómaczy i ludożerca będzie miłym portjerem paryskiego kinematografu. Tych jednakże rozchełstanych, krwawych upiorów nie zmieni nic nawet za lat tysiąc, szkoda zaś, że szlachetny Lloyd George nie widział paru takich egzemplarzy w oryginale, posłano bowiem do niego „śmietankę”, która sama wprawdzie nie morduje, nie jest jednakże wyłączone, by prezes ukraińskiej delegacji nie ukąsił nagle w nogę szlachetnego ministra Zjednoczonych Królestw. Wszystko się może zdarzyć w tym narodzi ukochanym.

Nie zapomnę do końca życia fizjognomji pierwszych ukraińskich bolszewików, którzy weszli do zdobytego Kijowa; przyszli z rewizją między innymi i do mojego zrujnowanego mieszkania, w poszukiwaniu broni. Najpierw tedy powiało, jakoby morowe powietrze: to połączone wonie wódki, okropnej machorki, brudu i juchtu. Potem się zwała gromada z pięćdziesięciu w szarych szynelach muzyków. Kałmuckie nosy i oczy chytre, na wsze strony biegające, podejrzliwe, a pożądliwie patrzące; każdy

obwieszony pasami nabojów, każdy z karabinem rewolwerem, który strzela niezmiernie łatwo, jeśli jego wściekłemu panu przyjdzie cokolwiek do zawzonej głowy. Straszny ten czambuł wszedł z brzękiem i hałasem, z wielkim tupotem i zgiełkiem, jak wchodzi gromada ludzi pijanych, na ich czele zaś, na czele tych nieszczęśliwych, bardzo nieszczęśliwych, starych, chorych na wściekłość głupców ich dowódca: czternastoletni żydek z rewolwerem w każdej ręce. Typowy żydek z kantoru, z binoklami na nosie, kędzierzawy, w ubraniu cywilnem. Chytry i sprytny wiódł tę okropną trzodę na rzeź własnych braci i własnych ojców.

Szczęściem mojem był stan mojego mieszkania, rozbitego w gruzy przez ich szrapnel, skończyło się tedy lirycznie, gdyż przy szukaniu broni ukradły mi dzielne mołojcy coś niecoś z niesłychaną wprawą, przede wszystkim więc talję kart, rzecz dla owych idealistów najbardziej łakomą, pyjamę, dlatego, że była wściekle kolorowa i służy dziś zapewne, jako wspaniały mundur jakiemuś bolszewickiemu generałowi i co najweselsze! — pudełeczko. z pudrem do paznokci. Zdawało się bowiem temu krwawemu idjocie, że to pudełeczko z klejnotem. Niech mu służy aż do nagłej i niespodziewanej śmierci.



## V.

Należące do dalekich już wspomnień rządy ukraińskich bolszewików w Kijowie znane są z wielu relacji, tak samo jak i ulubiona anegdota z owych czasów, która się stała wreszcie zmorą, nie było bowiem miasta, w któremby się nie zdarzył a historia ze zdarciem futra ze spokojnego obywatela, któremu za nie dano żołnierski szynel. Obywatel począł przykrawywać szynel na swój wzrost i znalazł zaszyte w kołnierzu rubli czterdzieści trzy tysiące, kopiejek dwadzieścia trzy. Znam stu świadków tego zdarzenia, naocznych świadków, każdego z innego miasta.

Wspomnieniem z czasów tych takim, które grozą swoją wryło się w pamięć, jest wspomnienie pogrzebów, jakich nikt na świecie nie widział; przeciągały ulicami korowody, karawany długie wozów, zwyczajnych wozów roboczych, zaprzężonych w nieśpieszące się woły chłopskie. Tak grzebano swoje ofiary, wrogi bowiem rozkładały się po parkach i ogrodach. Defilowały śmiertelne te wozy długim szeregiem, czasem ich było pięćdziesiąt, a na każdym z czterech desek zbita trumna, umajona gałęzią je-dliny. Czasem zmęczone, małe dziecko, co już za wozem iść nie mogło, sadzano na trumnie i tak jechało, biedactwo, przy trupie ojca, uśmie-

chnięte, że jedzie. Zawsze były w Kijowie takie pogrzeby; cokolwiek się działo, ktokolwiek się pobił z kimkolwiek, defilowały za dni kilka w nieskończonym szeregu owe straszne trumny, a że tam wciąż się coś działo, wciąż ktoś był niezadowolony, jedynym przemyśleniem tego dziwnego narodu było zbijanie trumien.

Funt chleba więcej był wart, niż ludzkie życie.  
Stare dzieje, niema o czym mówić.

Godziło się jednakże obserwować powolny obłęd duszy wielkiego miasta, patologiczne objawy niemocy, jego histerję niebohaterską i bezradność. Histerja, wszelki poryw zabijająca, miała podłoże swoje w zdenerwowaniu strasznych dni bombardowania, rosła jednak i przechodziła w chorobę chroniczną, podsycana szaleństwem plotki. Przechodzi pojęcie, czego nie potrafi wymyślić historyczny bliźni, aby bez celu doprowadzić bliźniego do obłędu strachu; czasy owe zrodziły człowieka, który jest bakcylem paniki. Jest to indywiduum gorsze od armaty, która może tylko zabić, ale nie męczy. W czasach, o których rzekłby kapitan Fracasse Gauthier'a, że na ich widok „klepsydra zadrżała w ręku Czasu”, można przewidywać wszystko i, przewidując, przed wszystkim się zabezpieczyć pod warunkiem, że się wytruje wprzód ludzi, siejących szeptem panikę, nałogowych trucicieli, tra-

gicznych, komiwojażerów strachu. Mówię to raczej na użytek naszych czasów.

Urodzony z matki paniki i z ojca strachu, snuł się wszędzie i będzie się snuł zawsze tam, gdzie cokolwiek ma się stać. Wszyscy są śmiertelnie zmęczeni i już nikt za żadną cenę nie chce słyszeć o nieszczęściu. Tylko on jest niezmęczony zaczyna działać. Mnoży się króliczą modą szaleje. Nazywa się taki, indjańskim zawołaniem, „Błada Twarz”.

Błada Twarz jest wyrafinowanym złoczyńcą i lubuje się zadawaniem męki; nie znosi ludzkiego spokoju i czyni wszystko, by go zburzyć. Karmi ludzi strachem. Węszy, gdzie jeszcze w jakim cichutkim zakątku ostał się człowiek dobrej myśli i pogodnego serca.

Wtedy Błada Twarz zjawia się w mglistej chmurze oparów z zapachem siarki, zjawia się z duszą zielonego koloru, wchodzi w dom spokojnego człowieka i stąpa tak ponuro, jak ów hiszpański grand z zakładu pogrzebowego, co przychodzi zdjąć miarę z nieboszczyka. Człowiek pogodny, który marzył właśnie o tem, jak grają u Loursa w bilard, otwiera szeroko ramiona i maluje zaciętą gębę uśmiechem, takim, jak słońce.

— Sto lat! — powiada. — Jakże tam panu przeszło bombardowanie? Gorąco było, bo go-

rać, ale Pan Bóg się zlitował. Skończyło się nareszcie szczęśliwie, że upiłbym się z radości.

Błada Twarz spojrzy na niego z tą śmiertelną, zezowatą litością, z jaką człowiek zrównoważony patrzy na zawodowego warjata, i powoli, dobitnie, głosem, który z zakatarzonego dobywa się żołądka, rzeknie:

— Dziś w nocy zarzną pana...

Człowiek pogodny otwiera nagle szeroko oczy, jak literat, który znalazł tysiąc rubli, potem otwiera usta, jak karp w agonji, potem się dziko śmieje przez chwilę, jak bohater tragedji przed skonaniem, potem powoli opada na fotel we wdzięcznej pozie paralityka.

Wtedy się nad nim Błada Twarz nachyli i sączy mu w ucho truciznę, jak to stary łajdak duński król czynił ojcu Hamleta:

— Mam najpewniejsze wiadomości... nie mogę powiedzieć skąd, ale na to mogę dać słowo honoru. Dziś w nocy od trzeciej do czwartej zarzną wszystkich w wieku do lat sześćdziesięciu, tylko blondynów, w domach, które mają numery nieparzyste.

Wtedy człowiek, który był pogodny, miał serce czyste, po wielu lękach radość w duszy i uśmiech w oczach, nie jest już pogodny, nie ma czystego serca, radości w duszy i uśmiechu w oczach, bo się już wogóle nie rusza i długo leży zemdlony. Jeśli nie miał szczęścia i nie

zwarjował odrazu, „na twardo”, — zacznie szaleć powoli i tejże nocy urządzi w domu fortecę i będzie konał trzydzieści sześć razy na godzinę, bo tyle razy skrzypi w jego pokoju stara szafa.

Zasię Błada Twarz, splodziwszy nowego warjata, idzie dalej, zamysłony ponuro, zezem patrzący na boki, czujny na każdy szelest, wszystko widzący, rozumiejący wszystko. Czasem przystanie, spojrzy na coś przenikliwie szepni tylko:

— Ho! ho! to dziwne!...

I wtedy już wie o tem, czego jeszcze nie wie nikt. Rozumie to bowiem Błada Twarz, że wszystko jest pozór i udanie, zaś poza mgłą rozpacz, ha! i śmierć.

Wobec tego odwiedza Błada Twarz szczęśliwą matkę, która tuli dwoje dzieci i jest radosna. Wtedy Błada Twarz zaczyna litościwie kiwać głową i mówi dotkliwym, strasznym, krwawym szeptem tylko dwa słowa:

— Nieszczęśliwe maleństwa!

Niewiasta czuje, jak jej do każdego włosa napływa trwoga, zimna, jak lód.

Zasię Błada Twarz:

— Ja nie chcę pani straszyć, ja wogóle nikogo nie straszę. Ale niedawno, w pewnem mieście nad Wołgą, takie małe dzieci nabijano do armat strzelano niemi do rodzicielskich domów.



— Jezus, Marja!

— Niema się czego bać, tutaj mają to robić dopiero w przyszłym tygodniu.

W tej chwili Błada Twarz rozjaśnia na chwilę fizjognomję, bo lek śmiertelny padł na cały dom. Wieść bieży po nim na złamanie karku, powtarzają ją „dęby dębom, bukom buki”, kucharka kucharce, stróż stróżowi, wieczorem zaś dnia tego widziano na tej ulicy i stwierdzono pod przysięgą, że tuzin dzieci, związanych za nogi po parze, wieziono na wozie, dzieciom zaś, uwolnionym od rekwizycji, na znak uwolnienia, wyłupywano scyzorykiem lewe oko, aby uspokoić rodziców, że im już nikt dzieci nie zabierze.

Błada Twarz krąży znowu po mieści i szuka ofiary. Chodzi i słucha i szepce i zaraża strachem, swój własny strach sycąc, słyszy szelest zimny śmierci, widzi tylko trupy i myśli, myśli, wciąż śmiertelnie myśli. Aż mu ze stęchlizny zwarzonego strachem, rozmiękczonego mózgu strzeli genialna myśl. Bierze wtedy myśl tę w drżące ręce, rozpatruje ze wszystkich stron, rozdrapuje szponem zaczyna w nią wierzyć metodycznie tak długo, aż wreszcie uwierzy. Wtedy biegnie szybko, a chyłkiem, wpada w gromadkę ludzi, wierzących w Boga i w boże miłosierdzie, i mówi:

— Wczoraj jeden mój znajomy, pewny czło-

wiek, człowiek, który w życiu swoim nie skłamał...

— Na miłość boską, mów pan prędzej...

— ...ten człowiek kupił funt kielbasy... Uważajcie tylko: kielbasa! Niby nic... Niewinna rzecz... Takby się przynajmniej zdawało, więc je... sami to opowiadał...

— No i co, no i co???

— Zaraz! człowiekowi przez gardło przejść nie może. Otóż je i czyta gazetę. W gazecie nic nie było...

— W kielbasie?!

— W kielbasie było... Coś mu zgrzytnęło pod zębami, więc myślał że guzik; albo szkło, słowem jakiś nieszkodliwy drobiazg. A to był sygnet...

— Chryste Panie!

— Był sygnet... z herbem... na kawałku ludzkiego palca.

W tem miejscu dwie panie zemdlały, jeden pan spojrział wymownie na hak w powale, reszta zwiesiła głowy na piersi, a wszystkie serca umarły nagle i zostały pochowane w piętach.

— Jaki herb? — szepnął ktoś trochę z tamtego świata.

— Rawicz! — rzecze Błada Twarz.—Były plotki, że Grzymała, ale to był Rawicz. Sam widziałem.

— Rawicz! — jęknęło echo i schowało się pod kanapę, podtuliwszy pod siebie ogon. Szyby

w oknach drgnęły cichutko, szafa skrzypnęła z trzaskiem, pociemniały światła, na ścianie przechylił się obraz, a na schodach głucho zawył pies.

Nazajutrz opowiadano w tej dzielnicy, że ozór wędzony, wystawiony za szybą sklepu ma dziwny kolor i dziwny kształt. Potem jedna Błada Twarz mówiła drugiej Bładej Twarzy:

— Ten ozór, to jest język pewnej starej panny, która mieszkała samotnie. Wyrwali go jej żywcem z gardzieli, bo nie chciała powiedzieć, gdzie chowa złoto. Miała cztery miliony w angielskich gwineach. Mój znajomy doskonale to wiedział, bo za tydzień mieli się pobrać.

Tak to oni sobie mówią, a Błada Twarz myśli, myśli i myśli... Ma stale czterdzieści parę stopni gorączki i za osobistego wroga uważa człowieka, który się nie boi. Przytem Błada Twarz ma w obłędzie metodę i zachowuje kalendarzową ścisłość. W poniedziałek zawsze wszystko jest podminowane, we wtorek jak z arki Noego wypuszczają zarazki dżumy do bogatych dzielnic, na środy przypada zatrucie wodociągów, na czwartki (mniej więcej na godzinę piątą po południu) wieszanie za nogi na latarniach, w piątek każdy człowiek, który się ukaże na ulicy w zielonym ubraniu, jest rozstrzeliwany bez sądu, w sobotę każdy mieszkający na niższych piętrach wywieziony bę-

dzie do kopalni, ludzie z wyższych piętér muszą sobie dać wyrwać jedenaście zdrowych zębów. W niedzielę spokój obmyślanie katuszy na tydzień przyszły.

Jako tedy widać, Blade Twarze (są one zawsze i wszędzie) wiodą żywot pracowity i nie spoczywają, póki się ludzie z rozpáczy nie poczynają wieszać, lub zachłannie garściami zjadać truciznę, aby sobie skrócić męki.

Blade Twarze, ulegając potrzebie zrzeszeń, zakładają związki zawodowe (w Kijowie zwało się ono: „Centropanika“) i mają zawsze na składzie świeże trupy, kaftany bezpieczeństwa, wszystkie materiały wybuchowe, laseczники cholery i dżumy (tylko wagonami), zsiadłą krew w butelkach, przepisy na racjonalne pomieszanie zmysłów i tym podobne artykuły, błogo na uspokojenie działające.

Jednego tylko ludzie nie wiedzą, tego mianowicie, że każdy człowiek spokojny, który nie chce oszaleć, lecz jako tako w pogodzie ducha przeżyć ciężkie czasy, — jeśli zrzuci ze schodów na fizjognomię każdą Błądą Twarz, co przychodzi zarażać lękiem, — dostępuje odpustu lat siedmiu i siedmiu kwadragen.

## VI.

Ci szlachetni mołojcy, którzy dziurawili przez dwa tygodnie swoje własne miasto, mieli w swoim rycerskim, żywocie jeden jedyny uczciwy zamiar, kiedy za wszelką cenę postanowili powiesić cały ministerjalny gabinet.

Na to gabinet zacytował im słowa z „Wesela“: — „Pan mi razy dwa nie powie“, i uciekł, jako młody jelonek. Z tem to był najmniejszy kłopot. W szczerze demokratycznych społeczeństwach trudno jest o kaszę, albo o cukier, nigdy jednak jeszcze nie bolała głowa o to, skąd wziąć ministra. Zjawily się tedy jakoweś nowe chuligany, z których jeden nie umiał wcale pisać, inny umiał czytać tylko z drukowanego, ale miał rewolwer, powstała tedy nowa władza, na widok której najgłupszy nawet prokurator dostawał świerzbu palców. Ale gęby! — Boże miłosierny, co to były za gęby! Trzeba jednakże przyznać, że zdobywcy Kijowa była to menażerja szeroko wesoła; każdy taki kacyk, obwieszony nabojami zasobny, jak arsenał, miał zawsze „narzeczona“ z zadartym nosem i z fizjognomją uśmiechniętą, rozkosznicę z ustami od ucha do ucha à la Gwynplain Wiktora Hugo, i woził ją pędem w automobiliu, ryczącym z uciechy. Czasem, dla zabawienia dziewczki, strzelał w okna kamienicy, czasem ku-

pował jej cały magazyn perfum za dziesiątki tysięcy rubli, albo urządzał ucztę w najbardziej wyzłoczonej restauracyjnej sali.

Szara czerń bawiła się w inny sposób. Wypatrywała największego magazynu z winami, który przezornie był zamknięty na głucho, co dla ludzi wyzwolonych i gardzących przesadami zachodnio-europejskimi stanowiło dziecienną przeszkodę. Stawali sobie dobrzy mołojcy półkołem i wśród serdecznego śmiechu ciskali w żelazne rolety sklepu ręczne granaty. Wtedy ostatnia kontrrewolucyjna zaporą pękała z hukiem, a szlachetni bohaterowie wpadli w napętnione winem i koniakiem okopy, by zaś, zwabiony zapachem alkoholu wyzwolony naród, wałęsający się po ulicach, nie wziął przemocą udziału w libacji, strzelano z karabinu maszynowego na wszystkie strony. Był to codzienny proceder, ujmujący w swojej prostocie, dowodzący, jak bardzo nieskażoną i naiwnie dziecienną duszę ma Tyrolczyk Wschodu. Patrzył z pomnika baćko Chmielnicki radował się w dobrej duszy.

Po kilku dniach, czerń regularna, to jest taka, która była panem życia i śmierci z racji zwycięstwa i zachowywała dość wesołe pozory władzy, pomieszała się z czernią nieregularną, która była panem życia i śmierci z tej racji, że uciekła z kryminałów, źle strzeżonych. Najby-



strzejszy jednakże psycholog nie umiałby na pierwszy rzut oka odróżnić jednych od drugich, w praktyce zaś było to absolutnie wszystko jedno, czy się ma być rozstrzelanym na mocy rozkazu „prawnego“, czy bez rozkazu.

Kiedy się czasem ci niedokrewni krewni spotkali, krążąc po ulicach całymi oddziałami, rozpoczynała się wówczas strzelanina, gęsta i bezładna; zawsze wtedy zabijano kogoś trzeciego, co właśnie przechodził ulicą, owi zaś wiedli z sobą pertraktacje, wyjaśniali kuzynostwo i rozchodzili się z poczuciem wzajemnego szacunku. Obie zaś strony z pasją uprawiały rewizje, które były najpotworniejszą zmorą tego czasu; miało się wprawdzie „prawo“ niewpuszczenia do mieszkania ludzi, nie mających „urzędowego polecenia“ na odbycie rewizji, takie samo jednakże prawo ma sarna wobec kłusownika. Wtedy zwyczajny kryminalista, jeśli uważał że trzeba zachować chociażby pozory przyzwoitości, pokazywał ćwiartkę papieru, lub kawałek gazety, równocześnie zaś browning wtedy przy jaskrawem świetle siedmiu tysięcy świec w oczach jasnym się zdawało, że pewnie ci ludzie mają słuszność. Na udokumentowani jej, brali wtedy, co się dało, szczególnie zaś wino. Można wtedy było chyłkiem wołać pomocy „władzy“, która przychodziła wyjaśnić „nieporozumienie“. Praktyczniej jednak było

dać się obrabować raz jeden i już nie wołać pomocy.

Nieszczęśliwi mieszkańcy zasięgnęli wtedy rady u śmierci i postanowili bronić się sami. Obrony domowe, organizowane z początku dość wesoło, poczęły z czasem działać doskonale, wtedy szczególnie, kiedy owi „regularni” poczęli wycofywać się z Kijowa na wieść o zbliżaniu się głodnego sprzymierzeńca niemieckiego, a w mieście pozostali bandyci. *Ambo meliores*: ci, co poszli, i ci, co się zbliżali, a na ich czele ów osławiony ataman, ten sam, co później nieco zirytował się na jasnie wielmożnego hetmana. Ów tedy minister wojny, za młodości baletnik, ataman i coś tam jeszcze, słowem figura z pod ciemnej, ukraińskiej gwiazdy, uciekał niedawno, jak zając, teraz wracał ze „sprzymierzeńcem”, który go wkrótce potem, kopnąwszy, rzucił ze schodów ministerjalnej szczęśliwości. Trudno było zresztą zorientować się w tym strasznym, nieszczęśliwym, krwią zalanyim kraju, kto kogo chce aktualnie zarznąć, powiesić i spalić, kto ma prawo kradzieży, kto jest ministrem czynnym, kto zaś z ministrów już siedzi na kryminalnej wilegiaturze? W tej chwili jednak, zanim przyszły ministry, rządziły w mieście bandy i opryszki pierwszej wody, które miały na woczesną broń i stare, narodowe, niezawodne tradycje Gonty i Żeleźniaka. Postanowiło tedy

miasto bronić się i nie dać się zarznąć bez protestu.

Każdy dom zorganizował straż, nieustannie czynną, w dzień i w nocy, przyczem pozawierał przymierza zaczęпно-odporne z domami sąsiednimi, które, na odgłos alarmu, zobowiązane były do przyścia z pomocą domowi napadniętemu.

Ponieważ bohaterstwo mieszkańców było dość problematyczne i mogło się zdarzyć, że spokojny obywatel, postawiony na straży, zwarjuje ze strachu i zacznie mordować własne dzieci, wynajmowano kondotjerów, złożonych z byłych oficerów rosyjskich. Dostawał taki dwadzieścia pięć rubli na dobę, jedzenie i mieszkanie i miał bronić kamienicy wraz z mieszkańcami, którzy, dziwnem zrządzeniem natury, byli wówczas wszyscy bardzo bladzi, z miłym zielonkawym odcieniem. Każdy dom zamienił się w fortecę i miał zapasy nabojów, czasem po kilka tysięcy. Rygor panował wojenny, most zwodzony podnoszono, to jest właściwie bramę zamykało o zmroku i we wszystkim należało być posłusznym radzie wojennej, złożonej z wybitnych generałów, z których jeden w życiu swoim był nawet na polowaniu, reszta zaś handlowała cukrem, nasionami, czem Bóg dał. Komendantem całego frontu domowego był jednakże specjalista, autentyczny oficer, który cudem uszedł śmierci z rąk bolszewickich.

Nasz komendant był to dzielny, młody chłopak, budzący zaufanie; w każdym razie po jego mianowaniu strach całej, ogromnej, idjotycznie budowanej kamienicy, do której było sto wejść, spadł poniżej zera. Dwa dni bowiem przedtem strach ten omal że nie rozsadził termometru, że zaś ja osobiście mam wybitne do wszystkiego szczęście, byłem naturalnie przy tem. Było tak. Kiedy mi bolszewicy rozbili mieszkanie, przygarnęli nas najzaciejsi przyjaciele, dzieląc się najlepszym sercem i najlepszym winem z przedstawicielami literatury, gdyż i kochany twórca „Sobola i Panny” rozbił tu swoje namioty. Byliśmy blisko Boga, bo na ósmym piętrze, wśród najlepszych przyjaciół i zdawało się, że pogńębimy śmierć. Gdzież tam! Pewnego dnia nakazuje mi generał domowy, abym się stawił na warcie od godziny 12 do 2 w nocy. Trudno, od tego jest generałem, aby rozkazywał. Zakląłem po żołniersku: „psia krew” i poszedłem czuwać. Towarzystwo było pierwszej klasy, gdyż, ku cichej wszystkim radości, łąził z jakąś dubeltówką niedawny wicegubernator, dość miła figura. Drzwi pozabijane deskami, telefon w pogotowiu, dusze pochowane w piętach, miny rzadkie; rozmawiamy cicho, aby nie budzić zła, od czasu do czasu zaś ktoś się haniebnie nieszczerze śmieje, aby innym dodać odwagi, o swojej beznadziejnie zwątpiwszy.

Każdy ma nadzieję, że te dwie godziny jakoś szczęśliwie miną, i po godzinie zaczynają się wszyscy krzepić. Wtem gwałtowne pukanie do drzwi.

Tak puka tylko śmierć, a w teatrze zawsze stuka tak nieszczęście.

Cała straż znieruchomiała; nikt nie odpowiada. Na ulicy zaczynają wrzeszczeć:

— Otwieraj!

— Kto tam? — pyta ktoś odważniejszy.

— Rewizja!

— Proszę pokazać dokument! — powiada odważny, ale naiwny człowiek.

Zbrodniarz z za bramy odpowiada jakimś narodowem, ruskiem przekleństwem, takim, że mury zadrżały. Wobec tego zajęczały telefony, wzywając pomocy neutralnych, gruzińskich oddziałów do pomocy, cała zaś straż, mająca do rozporządzenia kiepskie dubeltówki przeciwko kilkunastu karabinom, zaczyna się cofać w porządku na dawno przygotowane pozycje, aby nieprzyjaciel, niemiecką metodą, szedł za nami — niepewni. Nieprzyjaciel natomiast rozbija kolbami drzwi i daje salwę w sień, przez którą właśnie przemykał się jakiś nieszczęśnik, mieszkaniec domu. Padł na miejscu z biodrem, rozerwanem kulą wybuchową.

Dom cały drżał w trwodze przez kilka godzin, nikt bowiem nie był pewien, co tym Ka-

libanom może przyjść do zbrodniczej głowy; indywidua te, straszne, jeśli się znajdują wobec bezbronnych, bohaterowie wobec kobiet i dzieci, są ohydnyimi tchórzami na widok jakiegokolwiek zorganizowanej siły. Mało tedy ukradłszy, uciekli na wiadomość, że przybywa pomoc wojskowego oddziału, ten jednakże nie bardzo starał się o odnalezienie bandytów, z którymi łączyła go nie głębokiej sympatji. Lepiej tedy było polegać na własnym przemyśle i uznać starą prawdę, że w Rosji szanowany jest tylko ten, co klnie i bije.

Kląć nie wypadało,—zaczęto tedy bić, co się okazało nierównie więcej skutecznem, niż białka oczu na niebo wywróciwszy, dać się mordować wedle filozofji owego kapłona, który, zarzynany w poniedziałek, mówił smutno, że źle mu się zaczyna tydzień.

Wobec czego rozdział następny będzie grzmiał od strzałów i będzie pełen siarki, prochu, wichru i wyjącej śmierci.

## VII.

Złodziejaszki ukraińskie, o ile który nie zrobił kariery dyplomatycznej, lub wojskowej, lubią chadzać bandami, nieomal że z muzyką na czele;



ie są to ludzie lekkomyślni, korzystający z byle jakiego łupu, lecz stare weterany kryminałów, wiedzący doskonale, gdzie się opłaci zachód i złodziejska mitręga, w którym domu można się spodziewać połowu, na który zaś szkoda wystrzału.

Były tedy w Kijowie domy bledsze ze strachu i domy, nadrabiające miną. Każdy jednak sprawił sobie przyrząd alarmowy, bynajmniej nieskomplikowany: brało się kawałek żelaznej sztaby, wieszano się to na drabinie w razie jakiejś hajdamackiej awantury, bohaterски mieszkaniec domu, stojący na warcie, chwycił drugą żelazną sztabę i z wielką mocą tłukł w żelazo wiszące. Niezbyt stary nieboszczyk porwałby się z grobu na ten alarm, myśląc, że wołają na sąd ostateczny, cóż dopiero nieszczęśliwy lokator nieszczęśliwej kamienicy, który spał przytem jednym okiem? Piekielny ten hałas dudnił w studni podwórza, łkał, krzyczał, jęczał, rzeził, wpadał na schody, tłukł się po nich, dzwonił w szyby, walił żelaznym dźwiękiem w drzwi, aż się zwałił wreszcie na struchlałe piersi człowieka, który głupio myślał, że wreszcie prześpi noc jedną spokojnie. Budziły się domy obok, wreszcie cała ulica, wzdłuż której wszystkie domy poczynęły grać swoją oszalałą pobudkę na takich żelaznych sztabach, na płatach blachy, na prawidłowych tamtamach, Bóg wie, na czym.

Dodawalo to odwagi napadniętym, wrogom zaś miały z tego hałaśliwego powodu zadrzeć łydki.

Tak jednooki obrońca Kudaku strzelał w noc i ciemność, kiedy go chciały zaskoczyć rezuny!

Ha! prawie tak samo.

„W taką noc piękną”, w szekspirowską noc, kiedy z za Dniepru wyplynał księżyc, jedyna w tym kraju żywa istota nieograbiona, myśleliśmy, że czar natury, który słonie pobudza do mistycznego tańca, a tygrysy łagodniejszymi czyni, podziała również na tych złośliwych pawianów, których święty Włodzimierz, zdaje się, że niedbale ochrzcił, lub niedochrzcił, na tych krwawych podludzi, którychby się zasromał Gaetano Mammone, co ciepłą krew pił z ludzkiej czaszki.

Gdzież tam!

Już była druga po północy, kiedyśmy, omówiwszy możliwość napadu, doszli do przekonania, że właściwie już na napad za późno. Wskutek tej nieznajomości złodziejskiej natury, ten i ów, znużony czuwaniem przez wiele nocy, legł na łożu. Wtem wśród ciszy nocnej zahuczał przeraźliwie, brzękiem dreszcz budzącym, sygnał alarmowy i urwał się nagle: to salwa karabinowa przecięła głos ten piorunem.

Co się stało, — nikt nie wie, co? W jednej chwili wszyscy są na nogach, dom szumi, jak

ul i słychać tylko głuchy tupot nóg na kamiennych schodach; to obowiązani do obrony biegną pędem na stanowiska. Za chwilę wszyscy ubrani, skupiają się poza osłoną murów; dzieci ubiera się szybko, nerwowo ukrywa się dotąd nieukryte klejnoty i pieniądze; kobiety czynią znak krzyża świętego, ten i ów z mężczyzn idzie na zwiady. Klatka schodowa pełna niepokojów, płaczliwych szeptów, szybkich pytań i odpowiedzi, lub dziecięcego płaczu.

Nadchodzi relacja:

„Napad na dom sąsiedni. Bandytów około czterdziestu, obrońców domu szesnastu. Będą się bronić do ostatka. Dowódcą obrony jest Polak, nasz znajomy”.

Dom napadnięty, wysunięty w tył od linii ulicy, miał przed sobą łysy ogródek, zamknięty wysokimi sztachetami z żelaza. Dzielny dowódca domu (oby został generałem!) kazał już dawno ustawić przed domem wysokie barykady z sągów drzewa — teraz bronił domu z poza tych barykad, kierując ogień wprost, na niezastłoniętą ulicę. Banda oblegająca miała więc pozycję trudną, tem większe było tedy niebezpieczeństwo, że albo będzie usiłowała przejść przez dom nasz, połączony z tamtym, lub obejść cały kompleks domów i wejść od tyłów, co było możliwe. Z nami było trudno, gdyż mieliśmy trzydziestu tygrysów, wynajętych do

obrony, którzy już stali z gotowymi karabinami, broniąc flanku, należało zbadać sprawę okrążenia. Pytania, jak na wojnie:

— Kto dziś tam dowodzi?

— Aktor z polskiego teatru... Znakomity aktor, — dodaje ktoś uspakajająco.

Skóra mi ścierpła na myśl, co takiemu generałowi jak znakomity aktor, może przyjść do głowy takiemu generałowi, który złoconą szpadę don Fernanda oddał królowi maurytańskiemu, „otoczony“ wraz z wojskiem przez czterech drabów, co sobie gęby pomalowali na czarno. Rezuny jednakże musieli się dowiedzi, jaki tam straszliwy czuwa Bayard, bo, zgłupiawszy, waliły salwami wprost na dom, który w jednej chwili zmienił się w Fort Chabrol i grzmiał tryumfalnie, choć nieco nerwowo, lecz z fantazją, pluł ogniem, ryczał hukiem, ponad który wzbijał się czasem tubalny głos dowódcy, jak tenor, co nad chór wystrzela nutą.

Wywiadowcy nasi wypełzli na balkony i obserwowali bitwę z boku, od strony ulicy i podawali szeptem wiadomości w głąb domu.

Relacje były krótkie i niezawodne.

— Jest ich trzydziestu ośmiu... Część leży na ulicy, część za drzewami, część za murem.

(To źle! — odpowiadała zalekła dusza domu).

— Jeden się wykopyrtnął... Leży! Nie rusza się.

(To dobrze! — odpowiedziała zdziwiona dusza domu).

— Drugi! Słowo daję — drugi! trzeci! Jest trzeci!

(Ależ to nadzwyczajnie! — uradowała się dusza domu).

I wraz się znów przelękała, gdyż napastnicy, rozdrażnieni oporem, zaczęli się wściekać psią modą i coraz natarczywiej poczęli kąsać stalowymi zębami kul żelazne kraty ogrodzenia i tłuc kulami szyby okienne. Wtedy dom, ugodzony w szklane swoje oczy, ryknął hukiem, jak Polifem i cisnął w nich salwą, pogardliwie krótką, bryznął krwawą śliną ognia w plugawe pyski i zaśmiał się echem, co się w całej odezwowało dzielnicy, w której nie spała żywa dusza.

Nagle jednak jakby osłabł; bulgot strzałów słychać tylko od ulicy, dom zaś począł cichnąć i śmiertelną harmonję swoich doskonałych salw jakby porwał na strzępy głosów karabinowych.

Co to się stało?

Pot nam wyszedł na czoło zaczęliśmy nasłuchiwać tem słuchaniem, którem słucha całe ciało...

Co to znaczy?!... Wtem jakiś cień skrada się chyłkiem od strony obrońców.

— Co tam? co to jest?

Cień ciężko dyszy, potem mówi szeptem:

— Naboje się kończą... Dawajcie naboje!

Nie upłynęła minuta, a już przez parkany ostrożnie przeniesiono tysiąc ładunków. Za chwilę bohaterski dom, (którego miano na wieczną rzeczy pamiątkę podać należy, dom przy ulicy Instytutowej № 20), — jakby oszalał z radości i jakby zdumiony księżyc jeszcze chcąc bardziej zadziwić, trysnął żywym płomieniem i klasnął tak, że mróz poszedł po kościach.

— Djabli wzięli czwartego! — zaraportował balkon naszego domu, krótko i skromnie.

Wśród napastników powstał podejrzanym ruch; część zaszła z pozycji poza ochronę murów i poczęła radzić; nasza pikietka na balkonie zmieniła się cała w ucho, lecz nie usłyszała nic, po kwadransie jednak obwieściła skutek złodziejskiej narady:

— Wiozą karabin maszynowy!

Wiadomość głupia i nieprzyjemna. Zaczyna być gorzej, a do świtu jeszcze dość daleko; sprawa zaczyna pokrywać się mrokiem, księżyc, nisko wiszący, wytrzeszczył zalekłe oczy. Łotrom z ulicy uczyniło się lepiej, zaczynają działać szybko i nerwowo. Ustawili łajdackie narzędzie nawprost domu, na bruku ulicy, tak jednak, że słabo był osłonięty; specjalista legł tak, że ledwie go dojrzeć można („Wierni go towarzysze płaszczami okryli“) począł oszalałą swoją robotę.



Uczył się sądny dzień; rzucały pełnemi garściami groch kul dudnił po ścianach, tłukł szyby okien, szczekał na żelazie ogrodzenia. Z rzadka odpowiadały mu karabiny obrońców, zmuszonych do pilniejszego ukrywania się, coraz bardziej zdenerwowanych, chociaż gotowych na wszystko, gdyby bowiem dom zdobyto, nie-szczęśny byłby jego los. Najdzikszy Indjanin z plemienia Siouxów nie zarżnie z taką wrodzoną wprawą człowieka, jak to uczynić umie Tyrolczyk Wschodu.

Ze zdobywanego domu poczęła strzelać głucha rozpacz, jakby trzaskiem salw karabinowych chciała przywołać na pomoc wschód słońca w tem słusznym przekonaniu, że odwagi dodaje tym rasowym bandytom noc. Na pomoc nikt nie przychodził, wszystkie domy okoliczne czekały swojej kolei, straż każdego z nich stała na posterunku. Teraz każda chwila stawała się okropniejszą.

Obrońcy domu, rozsypani w tyraljerkę, ukryci za występem muru, lub za stosem drzewa, ni mogli się połączyć z sobą w celu powzięcia jakiejś decydującej akcji wspólnej, — wróg zaś, ośmielony nieustannym ogniem swojego maszynowego karabinu stawał się coraz bardziej bezczelny widocznie za bożem dopuszczeniem w zwycięskim upojeniu zgłupiał. Jednej bowiem chwili ponad trzask karabina wybiegł

ściszony, lecz przejmujący głos któregoś z obrońców, któremu odpowiadać począł głos dowódcy załogi domowej, wiążąc się z tamtym w doskonały, zwarty, nieskazitelnie dramatyczny dialog, jakiego nie zdołałby tak na poczekaniu stworzyć cały warszawski Związek autorów dramatycznych.

— Jerzy! — wołał głos, lecąc wśród kul, które po stokroć przebiły nieszkodliwie serce tego szlachetnego imienia.

— Jestem! — odkrzyknął dzielny dowódca i strzelił, aby odpowiednią nadać wagę okrzykowi.

— Widzisz tego przy kulomi

— Widzę! w tej chwili...

Sto kul porwało na strzępy resztę bohaterskiego zdania, z którego musiała popłynąć krew.

— Mierz dobrze! — krzyknął człowiek z mroku.

Przezacny księżyc wydobył się z pierzyny chmur i zdawało się, że silniej zabłysnął.

Wszystkie serca uderzyły mocniej, a ów Jerzy, rycerski imię noszący, podniósł karabin, przylgnął do niego, zrósł się z nim i tak długo trwał nieruchomie, jakby zaskrzepł na mrozie.

— Trata-tata!... — zaniepokoiła się bezecna maszyna.

Tamten, mrokiem, jak hiszpańskim płaszczem, okryty, ani drgnął w załomie murów. Aż mu szlachetne serce musiało dać znak, bo nagle

strzelił. Specjalista od karabina maszynowego na jedno mgnienie się zdumiał, a potem nakrył się nogami i „począł kopać ziemię” — wedle recepty wszystkich pisarzy historycznych, zupełnie stylowo.

Zdumiał się księżyc, zdumieli się mołojcy zaniemówiły z radości nasze pikiety na balkonach. Pierwszorzędny ten strzał bowiem ugodził nietylko owego specjalistę, lecz zabił równocześnie bezecnego ducha armji oblężniczej. Postrzelali tedy jeszcze, już dla własnej satysfakcji i, widząc zbliżanie się świtu, cofnęli się chyłkiem, unosząc swoich zabitych, czy rannych, z plugawą złością w plugawych sercach.

## VIII.



W całym tym nieszczęśliwym kraju nastał „dzień gniewu i klęski” Tysiąc już piór krwią pisząc, opowiedziało te straszliwe epizody dreszcz budzące. Sine, z rozpłataną piersią widma, krążą w mrocznym wspomnieniu, tak, że się myśleć o tem nie chce, dusza się bowiem wzdryga. Ze wszystkich zakątków, ze wszystkich dróg i gościńców waliły się rozkrzyczane wieści leżały rozetkane echa, gonił płacz i krwią napęczniały jęk: ukraińska dzicz morduje cywiliza-

cję. Niepodobne to było do wiary, żeby to się działo w takim stopniu, w jakim się działo istotnie, z opowieści tych bowiem wynikało, że Atylla to był baranek, Tymur Kulawy miał duszę anielską. Nad tą ziemią bogatą i śliczną, zapanował zwierz, nietylko morderczy, lecz złośliwy, ohydnie złośliwy, dla którego na ziemiach cywilizowanych miejsca być nie powinno. Straszliwy rezun, wnuk Gonty i Żeleźniaka, a krewny paryskich „dyplomatów”, mordował szlachcica, bo uważał to za przykazanie swoje główne, mordował jego żonę, bo ta urządziła mu szpital, a kiedy dziki zwierz ukraiński skaleczył się w lesie przy kradzieży drzewa, opatrywała mu dobrei rękoma ranę; rozcinał brzuchy panienkom ze dworu, bo uczyły czytania młodych rezunów i głaskały je po wszawych głowach. Kiedy wymordował wszystkich, wtedy rabował dom wedle swojej metody; nie wiedział, co uczynić z jakimkolwiek sprzętem, więc go rozbijał siekierą; plądrował wśród bezcennych pamiątek, podpaliwszy starą bibjotekę, aby mu było widno wśród walpurgicznej nocy; z pasją tłukł zwierciadła, darł obrazy, wyrywał posadzki, tłuki marmury. Jednakże niczego z taką nie palił lubością, jak książki. Ta krwawa imitacja człowieka miała przed zbiorem książek jakiś niesamowity, niepojęty lęk; mówił sobie ukraiński Hotentot — (tylko z braku lepszego po-

równania śmiem obrazić pocziwych Hotentótów,) — że ktoby te wszystkie książki przeczytał, ten byłby mędrszym, niż sam ...Kiereński, trzeba je tedy spalić.

Tak oto przez setki lat gromadzone pomniki kultury zmieniły się w kupę popiołu, zalanego krwią. W czasie kilku nocy, których Bóg się pewnie przeraził, w męczeńskim ogniu umarła dusza tego kraju. Ludzie umierali, jak bohaterowie, jak męczeńscy misjonarze wśród dzikich, kobiety umierały, wystrzeliwszy wszystkie ładunki po obronie rozpaczliwej i strasznej.

W epidemji zbrodni, te były najohydniejsze, których nikt pojąć nie zdoła. Zdarzyło się, że do rodzącej czarownicy, trzeba było wezwać lekarza. Pojechał po niego rezun i całował po rękach prosząc, by się udał z pomocą. Lekarza tego uważano za świętego człowieka, szedł naprzeciwko tyfusowej śmierci bez wahania do najbiedniejszego, w tej chwili tedy udał się z pomocą do rezunów. Kiedy czynność swoją spełnił, zamordowano go ohydnie, potem zamordowano jego córkę.

Jest coś w tych opowieściach, czego dobry Bóg chrześcijański w nieskończonym swym rozumie nie pojmie nigdy. Ludzkość została sponiewieraną po tysiącu lat chrześcijaństwa w tym kraju. Zdumiałby się członek paryskiego towarzystwa geograficznego, który ze zgrozą wspo-

mina o tem, jak w czternastym wieku Nowo-Zelandczycy powiesili misjonarza, kobiety wylupiły mu oczy zjadły mózg, zdumiałby się i nie jechałby już po opowieści z czternastego wieku na wyspach Eioji, albo w cieśninie Torrés. Rzeczy okropniejsze działy się w środku Europy w 1918 roku. Popełniał je człowiek na pół cywilizowany, po namyśle, po przygotowaniach, z lubością i rozkoszą, chytry i czający się za węglem, lecz ohydny w swojej psiej pokorze, jeśli został rozbrojony; wtedy pada na kolana i całuje nogi i Boga woła na świadectwo, że jest niewinny. Taka jest dziwna plugawa podłość w tym strasznym rezunie, że zbrodniarz, schwytany, lecz hardo idący na szubienicę, jest wobec niego, jak bohater wobec wściekłego psa.

Ostatecznie pojąć można szal zniszczenia u człowieka, dotkniętego zbrodniczym obłędem, któremu widok pożaru pałacu sprawia sadystryczną rozkosz. Uważał pana za swojego wroga i spalił jego dom, hajdamackie zaś czarownice, pół nagie, pijane i straszne, zarażone syfilisem przez żołdactwo, z frontu uciekające, tańczą dookoła pożaru. Jest to rodzajowy obraz wiosennej, ślicznej nocy ukraińskiej. Wtedy jednak zaczynają się znów rzeczy niepojęte; ludzi już wymordowano, morderczy zaś szal woła o ofiarę. Wtedy ten syn ziemi, którego po strasznej śmierci ziemia w siebie przyjąć nie zechce, rozwija całą



łotrowską pomysłowość i z dworskiej stajni wyprowadza krowę. Nieszczęsne zwierze zawieszono na drzewie, pod niem zaś rozpalono ognisko i „pańska” krowa, oszalała z bólu, pieczona żywcem, wydaje z siebie rżenia i jęki potworne ku obłąkanej radości tych ludzi, którzy w „spokojnem” życiu codziennem uważają za obowiązek kopnięcia przy każdym spotkaniu najprzyjaźniejszego psa, pewnie z głuchej wściekłości, że nieszczęsny, ukraiński pies uczciwszą ma duszę.

Niema, zdaje się, już w środkowej Afryce podobnego plemienia, nie powinno się tedy po rozmaitych europejskich Praterach obwozić dobrookich Aszantów i chudonogich Syngalezów, lecz w mocnych żelaznych klatkach pokazywać zdumionej Europie tych szermierzy wolności, pupilów zjętzałej dyplomacji. Zdumiała by się Europa, podwika bezzębna, którą Barnum bawił dotąd niepomysłowo.

Cała ziemia ukraińska spłynęła męczeńską krwią; płynęła ona po pochyłych ulicach Kijowa, wsiąkała w pszeniczną ziemię wsi, w każdej zaś tliły zgliszcza odwiecznych, dobroczynnych siedzib ludzkich. Noc ukraińska krwawiła niebo bezustannie, — krew była na ziemi i na niebie. Bóg słę skrył w chmurach, a ziemia bez Boga oszalała, zalana łzami.

Wszystko to odbywało się na tle idjotycznego politycznego rozdziału, bo Kijów zajęli ukraińscy bolszewicy, reszta kraju była w mocy Ukraińców „wolnościowców”. Był to rozdział farsowy, w który dotychczas wierzą tylko ludzie, tak beznadziejnie naiwni, jak dyplomaci.

Tu i tam mordował ten sam zwierz. Cała Ukraina przepojona jest bolszewizmem, a o nomenklaturę sprzeczą się tylko łotry naczelne, polityczne kondotjery, dowódcy rezunów. Jedną ten cały kraj ma duszę, zarażoną wściekłą, która czasem dla politycznego szachrajstwa udaje podział na „szlachetną” i na bolszewicką. Chłop ukraiński, fachowy bolszewik iiefachowy bolszewik, morduje wedle tej samej metody i wedle tego samego hasła. Hasłem jest zniszczenie wszystkiego, co polskie, zniszczenie aż do fundamentów. Agitator tłumaczył chłopu, że przede wszystkim należy zrównać z ziemią dom pański, pan bowiem, nie mając do czego powrócić, nie powróci; stąd pochodziła przede wszystkim ta niepojęta zaciekłość i wytrwałość w niszczeniu domu, który temu oszalałemu chłopu mógłby się przydać na szkołę, czy na szpital.

W tem była metoda, reszta należała do nadzwyczajnych przyjemności. Jedną z najkapitałniejszych było rozbijanie gorzelń, to już było więcej, niż przyjemność, to było dumne náro-

dowe święto, którego nie widział Dante, bo był tylko w piekle, nie był jednak na Ukrainie.

Tysiączna czerń otaczała gorzelnię, drżąca i niecierpliwa; w szlachetnym tłumie nie brakło nikogo, był tam ślepy stuletni starzec i trzyletnie dziecko. Każde z nich rozumiało powagę chwili i z radosnym niepokojem patrzyło wychodzącymi z orbit oczyma, jak mistrz ceremonji, albo stary, rutynowany pijak, albo rutynowany kryminalista czynił przygotowania do djabelskiego sabbatu. Metoda obrzędu była w części swojej pierwszej rozumna i zapowiadająca sprawiedliwy podział. W żelaznej cysternie, zawierającej spirytus, patentowany fachowiec czynił kilkanaście małych otworów, czerń zaś podstawiła pod te strugi, które są wynalazkiem Mefistofela z pierwszej części „Fausta” — niezliczone naczynia. Gdyby czerń pijacką można było ex abrupto zorganizować w społeczeństwo po pijanemu nawet praworządne, wszystko byłoby nieciekawe, każdy bowiem rezun z pełnym naczyniem poszedłby się upić sprawiedliwie do swojej plugawej nory, obwieszanej porwanymi na strzępy dywanami z pałacu. „Lud” ukraiński lubi jednakże rzeczy efektowne i niecodzienne. Każdy z takich bandytów, napelnivszy naczynie, nie odchodził lecz pił na miejscu. Piły kobiety i dzieci, pili do nieprzytomności starzy i młodzi. Po chwili był ten i ów,

jak piorunem rażony, wlawszy w siebie litr czystego spirytusu. Dzieci wiły się w konwulsjach, a po nich, trając czasem na śmierć szczęśliwych już pijanych, wśród okrzyków rozpacz, by nie zabrakło napoju, biegał do źródła okropny tłum. Jeden drugiego darł za włosy i kąsał. Wreszcie zabrakło im cierpliwości, więc siekierami wydarł większy otwór w kadzi i zimny płomień wódki buchał, jak odkryte źródło. Otworzono drugą, rozbito trzecią kadź, dokoła oszalała czerń wyjąca djabelskim, okropnym spazmem ciska precz konwie i garnki: to komplikuje pracę, którą można uczynić prostszą. Wódka zalewa ziemię, więc się tłum rzuca na kamienną podłogę gorzelni, straszny, potworny, błędny i wściekły; chwyta wódkę rękoma i podnosi do ust. Ale i to jest za mozolne, więc się rzucają na twarze i zanurzają je w powodzi spirytusu. Czasem się już taki nie podniesie i sinym, z nagła obrzękłym pyskiem uderza o kamień. Kobiety rozchełstane i wściekłe drą palcami podłogę, albo poją dzieci; igrzysko czyni się szatańskie, powietrze jest oszalałe, twarze ludzkie straszne. Ktoś na śmierć pijany stoczył się na bok, jego miejsce zajmuje w tej chwili inny pragnący i pije i żłopi i mlaska i rzy i wyje z radości. Zdarzyło się podczas takiego rozpętania, że dzień minął, a wódki było jeszcze wiele; było jej tyle, że się wylało po za budy-

nek, gdzie ją ciżba zaczęła chleptać z błota i z gnojówki. Załęgła jednak ciemność, wtedy za wyraźnym bożem zrządzeniem, zapalił ktoś zapalniczkę i cisnął ją w strugę spirytusu.

Tego dnia musiał być uroczysty festyn w piekle, bo wedle relacji dziennikarskich przeszło sto białych dusz ukraińskich wlało w piekielny, ulubiony dziegeć.

Kiedyś, jakiś nowy Szewczenko, opíše w baladzie tych męczenników ideji, którym chytry Lach spreparował wódkę, aby się w niej spalili na węgiel.

I jakiś nowy Wyspiański, rozpamiętywując owe dni, z których następny był bardziej od poprzedniego krwawy, napisze owe polskie: „myśmy wszystko zapomnieli...”

Gdy bowiem kto chciał pamiętać, musiałby jeszcze za tysiąc lat nienawidzić i za tysiąc jeszcze lat musiałby gardzić. My mamy to szlachetne, jedyne jakie jest piękne kalectwo duszy, że nie umiemy nienawidzić. Powiemy sobie i to będzie straszną prawdą, że ci dzicy ludzie byli przez zwierzęcość swoją najniezwyklejszymi na świecie, że nieszczęsny kraj ten to był jeden ogromny szpital obłąkanych. Początki obłądzenia zaszczerpiły im wojna, rozwojowi obłądzenia sprzyjało krwawe wspomnienie, do furji szaleństwa przywiódł ludzkie zwierzę zapach pierwszej krwi. Potem już było wszystko jedno.

Szaleńców karać nie można,— po cóż ni widzieć szaleńców?

Może przyjdzie jeszcze ten czas, że i ten człowiek oszalały, co piłą rzezał człowieka i gwałcił dzieci, stanie nagle nieprzytomny z lęku przed ohydmem widmem tego czynu i człowiek się w nim odezwie? Każdy szal strasznie rozbudzony, przemija, — przeminie tedy i ten. Dziki człowiek z ukraińskiego stepu, w nędzy swojej duchowej i z głodu umierający na najżyźniejszej ziemi świata, pojmie może w niesłychanym trudzie, że się stało za jego sprawą coś strasznego, że krwawymi rękoma zabił duszę swojej ziemi, zamęczywszy ludzi i zwierzęta, splugawiwszy ziemię, poraniwszy drzewa.

I znowu trzeba będzie zapomnieć wszystko i znowu trzeba będzie budować ochronki i szpitale w imię świętego ducha polskiego, który, zawsze „wszystko zapomina“.

Jeszcze jednak nie dziś, kiedy krwawość bulgoce coraz świeża, a stara nie wyschła jeszcze na zgliszczach polskiego domu, nie dziś jeszcze, kiedy na ukraińskim stepie szaleje krwawy, okropny, bezlitosny plugawy, wściekły rezun.



## IX.

Pośród huku ręcznych granatów, którymi „otwierano“ magazyny, wśród zdenerwowani, które doszło do szczytu, przyszła wiadomość, że Petlura zwąchał się z Niemcami i wiezie ich do Kijowa na pohybel braciom bolszewikom ukraińskim. Pobiło się dwóch małych bandytów „detailistów“ i zawołało trzeciego, grosistę, aby ich rozsądził. Stary bandyta był bardzo głodny, więc usłuchał wezwania bez namysłu. Bohaterscy bolszewicy, porwawszy, co się tylko unieść dało, wcale wesoło cofnęli się za Dniepr, a jednego plugawego wieczora, kiedy mżył skisły deszczyk, weszli do miasta Niemcy, ku największej przedewszystkiem radości żydów, najmędrszego szczepu na świecie, gdyż nigdy się nie smuci, a cieszy się — z jednym wyjątkiem, zawsze. Kiedy gabinet ukraiński, dzierżąc w rękach hajdawery kozackie, uciekał z Kijowa, żydzi się cieszyli. Kiedy potem wchodzili bolszewicy, żydzi się cieszyli. Kiedy wchodzili Niemcy, żydzi się cieszyli. Kiedy wejdą do Kijowa Polacy — żydzi się nie ucieszą.

Niemcy weszli ostrożnie, bez zwykłej parady, akcentując chytrze przed imci Petlurą, że nie wchodzą jako zdobywcy, lecz jako wezwani na pomoc przyjaciele. Wprawdzie kilku starszej szkoły uczciwych patriotów ukraińskich, których

zapewne do dziś powieszono, miało' dziwne uczucie przygnębienia, jakie ma zawsze uczciwy człowiek, kiedy się niedawnego wroga wprowadza do kraju w roli straszego policjanta,—na ogół jednak ogarnął małowców niebywały zapał, kiedy nazajutrz urządzili Niemcy pod starym, przepięknym soborem św. Zofji paradę wojskową, gdzie po pokazaniu rezunom uprzejmych fizjognomji generalskich, ukazano im równocześnie stalowe kły karabinów maszynowych.

Nawiasem powiedzieć należy, że poraz pierwszy w historji, właśnie owego dnia w Kijowie, zdarzyła się rzecz nieprawdopodobna, taka, że uczciwi w tem mieście ludzie, więc Polacy, zadowoleni byli z ich przyjścia, było to bowiem rękojmią, że ustana uliczne rozboje, rozstrzelowania i areszty. Nie trzeba było zreszta być zbyt przenikliwym, by przewidzieć, że w krótkim czasie dziwnie uprzejmy gość niemiecki, ściśnie w stalowej łapie wszystko w tym kraju rozluźnione.

Stało się to prędzej, niż się tego można było spodziewać, prędzej, niż wypadało. Zdarza się, że zaproszony na objad gość ukradnie srebrną łyżkę, zdarza się nawet, że pobije gospodarza po gębie, ale żeby go okraść, pobić i wreszcie za to wsadzić do kryminału, to potrafili zrobić tylko Niemcy. Uprzejmości trwały niesłychanie krótko, zresztą były to uprzejmości w stylu

mocno drwiącym. Zaproszony na ukraiński obiad niemiecki przyjaciel uważał ukraińca za coś niesłychanie mało podobnego do człowieka, że nie zwracał na niego najmniejszej uwagi. Trzeba było Niemcom zboża, brali zboże, trzeba było cukru — brali cukier i długie, nieskończone pociągi wiozły to wszystko do Niemiec, z radości wyjących, że głupi, straszliwie głupi słowianin pobił się w domu. Słowianin wreszcie po długich mękach myślowych, zaczął pojmować, że jeśli tak dalej pójdzie, to gospodarz umrze z głodu, a gość będzie się dalej obżerał.

— Przecież my jesteśmy „sprzymierzeńcy“ — rzekł nieśmiało do swojego przyjaciela.

— Maul halten! — odrzekł mu krótko przyjaciel.

— A jednak my na to nie możemy pozwolić! — mruczał zdumiony mołojec, — to jest rozbój.

I w rozdrażnieniu wystrzelił w jakiejś wi do niemieckiego patrolu.

Niemiecki przyjaciel przestał się wtedy uśmiechać, otoczył kilka wsi żelaznym pierścieniem i z karabinów maszynowych, na świadectwo wiernego przymierza, wystrzelał chłopów, baby i dzieci, spalił wszystko do cna i zadowolony patrzył na efekt.

Przetarł oczy krwawy rezun i pomyślał w zakłętej duszy, że przecież ten Polak ze dworu,

to był zacny człowiek. Strach go obleciał ohydny, więc się przyczaił i słuchał niemieckiego rozkazu, jak pokorny pies, nad którym wisi okrutnie nielitościwy bat. W haniebnej swojej przewrotnej małości nieszczęśliwi ci ludzie, bici i rozstrzeliwani, mścili się bardzo rzadko, kiedy się bezkarna do tego nadarzyła sposobność. Tu i ówdzie zginął niemiecki żołnierz, pochowany gdzieś w gnojówce, tu ówdzie ktoś strzelał do patrolu.

W Kijowie było niby wszystko uprzejmiej, szybko jednak pod cienką warstwą tej oficjalnej uprzejmości, poczęła nurtować głucha nienawiść. Niemiec nie umiał sobie uczynić przyjaciół nawet z tych na pół dzikich ludzi, którymi pogardzał i którzy z początku byli mu oddani na śmierć i życie. Po miesiącu współżycia Hunnów cywilizowanych z zupełnie niecywilizowanymi, rozpoczęły się najpierw ciche, potem coraz głośniejsze kłótnie. Zdarzało się, że patrol wojskowy, który poszedł na kijowski przedmieście, już nigdy nie powracał. Mniej więcej każdej niedzieli, kiedy zbiorowiska uliczne były większe, na balkonach gmachów rządowych ukazywały się karabiny maszynowe, a na ulicach stałowe patrole, które w porze nocnej zatrzymywały każdego przechodnia. Wtedy szlachetni mołojcy przechodzili uśmiech-

nięci patrząc w niebo, obserwując igraszki wron.

Pobyty Niemców w Kijowie od samego ich wejścia napelniał melancholją rdzennych Rosjan, których wstyd palił na widok tego, co zaszło. Niejeden za ich sprawą miał w grobie całą rodzinę, teraz musiał być uprzejmym, więc był uprzejmym fałszywie. Byłem żywym świadkiem takiej uprzejmości, kiedy oficer niemiecki wszedł do sklepu w poszukiwaniu za herbatą. Kupiec brodacz wytłómaczył mu na migi i jakąś dziwną mową, że nie posiada herbaty, dodając głośno po rosyjsku, że „niemieckiej świni herbaty nie sprzedaje”. Uśmiechnęli się potem obaj i skłonili się uprzejmie i po bratersku.

Drobni kupcy kijowscy byli na Niemców rozjątrzeni, niemiecki żołnierz bowiem, zakupiwszy towar, sam naznaczał jego cenę, albo urządzał niesłychaną, doraźną baisse na ruble, zamieniając cenę dziesięciu rubli na dwie marki; dość było niebezpiecznie nie uznać tej spekulacji giełdowej, dokładano tedy pamięć o takich zdarzeniach do rosnącego z dniem każdym, grubego pokładu wzajemnej nienawiści, przede wszystkim wskutek zobopólnie straszliwie zawiedzionych nadziei.

Mały złodziej oszukał wielkiego, a wielki małego. Mały rzekł do wielkiego:

— Przyjdź, a dostaniesz wszystkiego co zechcesz, ale przywieź cokolwiek ze sobą, bo nasi mołojcy są niecierpliwi.

Wielki obiecał tedy, że nawiezie pończoch, nici, guzików, lusterek i paciorków, tego wszystkiego jednym słowem, czem się chwyta czarne, murzyńskie serce, — a tymczasem przyjechał z setką tysięcy beznadziejnie pustych i przeraźliwie zachłannych pustych żołądków i z kilkoma tysiącami pustych wagonów. Wtedy się obaj zdumiali, gdyż jeden miał mało zboża, a drugi nie miał nawet paciorków i wtedy poznali jasno, jak wielkich stworzył dobry Bóg złodziejów. Napluli tedy na siebie w głębi znacznych dusz i poczęli sobie haniebnie dokuczać, w dość przykrem obaj zdenerwowaniu; mołojec bał się, żeby brat Niemiec nie odjechał, bo wróćą bolszewicy, Niemcy zaś uczynili z wyprawy ukraińskiej sprawę ogromną. Poza to, że był to ostatni ratunek, który przez miraż pszenicznych ukraińskich stepów, miał podnieść serca i żołądki niemieckie i trzeba było mimo wszystko wycisnąć, co się tylko da, — wyprawa niemiecka na rajskie pola ukraińskie stała się z wyprawy chananejkich posłów wielką ekspedycją wojskową; małej garstce zaczynało być pod piętami gorąco, trzeba było wzywać coraz więcej wojsk, które wędrowały na Ukrainę z bohaterką skwapliwością. Na miejscu można się



było przynajmniej najeść do syta, to też jedli!—  
Wotanie! — jak ci ludzie jedli! Jak mistrz Thor  
z ksiąg Eddy, kiedy był w przebraniu kobiecem:

„Sześć wołów już spożyła, dzikich udźców  
[trzydzieści,  
Stem chlebów to przegryzła, pić zachciała  
[nareszcie”.

Popijali nieco krwią, co się przestało podo-  
bać nawet Ukraińcom, zawsze jednak ohydnie  
pokornym i łaszącym się. Miało się wrażenie  
nieodparte, że cichem, łotrowskim marzeniem  
dowództwa niemieckiego było wywołanie rewo-  
lucji przeciwko załogom niemieckim. Stłumienie  
jej byłoby dla Niemców śmiesznie łatwe, rewo-  
lucja jednak byłaby cudownym pretekstem do  
zamiany „przyjacielskiej gościny“ na straszliwą,  
do ostatniej kropli soków, wyciskającą okupa-  
cję. Wieści o tej okupacji krążyły w powietrzu  
bezustannie i jakoś do niej nie dochodziło. Czy  
Niemcy czuli się za słabi, czy rozpacz, wyjąca  
z zachodniego frontu nie pozwalała się anga-  
żować w sprawę bądź co bądź niebezpieczną,—  
niewiadomo?

Odbywało się jednakże uporczywe, zupełnie  
haniebne' poniżanie gospodarza domu, którego  
gość tłukł po łbie przy każdej sposobności.  
Doprawdy, żal było patrzeć na tę śmieszna,

operetkową imitację rządu „suwerennej“ Ukrainy, kiedy pruski dwudziestoletni porucznik wymyślał bez najmniejszej ceremonji ukraińskiego mi istra, ten zaś drżał, by go nie wylano na fizjognomję, mocno kacapską. Zdawało się, że ukraiński minister handlu nie pozwolił na wywóz na ten przykład jakiejś tam ilości cukru z fabryki. Indywiduum, którego spotkała odmowa zbytńio się ministerjalnem rozporządzeniem nie martwiło. Spluwał narodowym zwyczajem na niezamiataną od miesiąca „posadzkę“ ministerjalnego gabinetu i szedł do drugiej kamienicy, gdzie urzędował leutenant z najbardziej idjotyczną gębą. Leutenant brał odpowiednią łapówkę, wrzucał do kosza wysokie pismo jego ekscelencji Kociuby czy Lizohuba i wydawał pozwolenie, na co kto chciał. Gdybym upadł tak nisko, żebym był ministrem, stanowczo bym się obraził.

To jednak były nieporozumienia wcale drobne, nieporozumienia prywatnego, rzecz można życia, łatwe do wyrównania. Ekscelencja ukraińska zaklęła po cichu od „czortowej mamy“ i poszła się poskarżyć do prezydenta ministrów, ten się poszedł poskarżyć pewnie do Petlury, Petlura poszedł się poskarżyć do niemieckiego generała, a niemiecki generał z całą pewnością wyrzucił Petlurę za drzwi. Rzeczy to były wśród przyjaciół drobne, a wśród ukraińskich

meżów stanu nikt się nigdy o drobiazgi nie obrażał. Ministry ukraińskie były jednakże tylko na pozór głupawe. Jest to wogóle charakterystyczne, dla tego plemieni z twarzy bałwan grubo ciosany, we łbie zaś ma niesłychany zasób przewrotnej, niskiej, niebezpiecznej chytrości. Płaszczy się, twarzą o ziem bijąc, przed wszelką siłą, straszny jest wobec bezsilnego, szalenie pozatem lubi spiskować, wszystko jedno przeciwko komu.

Poczęli tedy spiskować przeciwko swoim najserdeczniejszym przyjaciołom, którzy mając znakomicie zorganizowaną policję tajną, dowiedzieli się o tem bez trudności i jednej niedzieli patrzyliśmy z balkonu polskiego klubu, jak wiozą ekscelencje do aresztu. To było tragicznie wesołe. Ci, co sprowadzili sobie Niemców, ukrywali się teraz jak zające, kilku jednak przychwycono, za jednego ministra zabrano jego żonę, — operetka była pierwszej klasy.

Odbył się potem w Kijowie proces, dla aroganckiej dumy Ukraińców, zabójczy, niemal okropny. Żal było patrzeć, z niesmakiem czytało się sprawozdanie z procesu, podczas którego widziano dialogi zupełnie tragiczne.

Oskarżony prezydent ministrów Hołubowicz, powiada, że coś tam było tak i tak.

— Kłamiesz pan! — odpowiada mu niemiecki major, prokurator.

I w rezultacie serdecznego swojego przyjaciela skazuje na dwa, czy ileś tam lat bezwzględ-  
nego więzienia.

Radowało się po cichu serce, że jeszcze jeden niemądry Słowianin zmądrzeje wreszcie i pozna, jakiego ma serdecznego w Prusaku przyjaciela, równocześnie trzeba się było litować nad tym po raz dziesiąty nieszczęśliwym narodem. I po raz dziesiąty przychodziła na myśl krwawa, niezrozumiała, sąsiedzka nasza tragedia, niepojęty, ciemny fanatyzm hajdamacki, podszczyty na nas przez złośliwego, piekielnie mądrego Prusaka. Po tych wszystkich policzkach, po tych potwornych upokorzeniach, których Niemcy nie szczędzili najlepszym wśród Ukraińców, zdawać się mogło, że ludzie ci, haniebnie oszukani, przypomną wieki współzycia i jakieś tam serce się w nich odezwie, jeśli ich nie stać na jasną i jedyną dla nich rację stanu. Nadzieje były liryczne, bo opluci przez Niemców, poszli wyrzynać Polskę do Wschodniej Galicji — razem z Niemcami.



# SZLAKIEM ZWYCIĘSTWA





Jedziemy wprost w słońce, które niedawno wstało, dziwnie radosne i dobre, jak gdyby chciało ciepłą pieśczęcią blasku nagrodzić ludziom złe dni trwogi, kiedy cieniem, czarnym i długim, zawisła nad nimi chmura, napęczniała krwią. Tuż za Warszawą ziemi śpiewa o poranku, bo wojna odjechała gdzieś w inne strony na rozhukanym koniu. Już jej tu nie widać, jest gdzieś opodal, przypomina ją tylko długa, żółta glista, drażonych w glinie okopów, wijąca się chyłkiem, powoli i zygzałkiem przez pola drogi. Świeżo narodzone okopy mają już minę mocno znudzona, jakby czując, że ich karjera, która miała być bardzo głośna i huczna, jest już stanowczo skończona, gdyż oprócz hałaśliwego kobiecego tłumy i paru żydków z łopatami, nikogo nie widziały i nie zobaczą. Dumniej i pewniej wyglądają zasieki z drutów, — zawsze, co żelazne, to żelazne. Przyczaiły się, jak jeź i grzeją kolce na słońcu, niby obojętne, a budzące dreszcz, chytne, jak każdy potrzask. Potem znów zżęte pola, ciche i spokojne i znów druga, kolczasta strofa pieśni

o wojnie, zakończona błyskawicznym wykrzyknikiem bagnetu wartownika, który czujny na każdy odgłos, jak żóraw, wypatruje oczy na wszystkie strony. Jeszcze kilka kilometrów i wiatr roznosi już chrapliwe, nagłe, żelazne dźwięki wojny.

Drogą pełzną na daleki już front żarłoczne, lśniące, z otwartą paszczą smoki armat, a na każdym siedzi sobie roześmiany płowy żołnierz i gryzie jabłko, niefrasowity. Siedzi sobie na śpiżowej śmierci i tyle o nią dba, co o zdechłą krowę: „I na ogromnym smoku jeździć będziesz“. To też jedzie, aż miło i czasem z wielkiej radości, że idzie naprzód, ryknie sobie piosenkę w przestwór, aż pięć par koni przy armacie uszyma strzyże z wielkiego ukontentowania, a ona sama już nie tak głośno dudni, aby mu nie przeszkadzać, tylko czasem łańcuchami wcale dźwięcznie zadzwoni do wtóru. Jakaś radość jedzie w tych śpiżach, jak ona taka opasła, huczna i jurna, wielka, niewstrzymana radość siły, jakaś śpiżowa pewność, dzwoniąca żelazem dla dodania ludziom otuchy i zaklęta w nich dumna moc śmierci, patrząca daleko przed siebie czarnem okiem wylotu, co się w chwili sprawiedliwej walki zaczerwi zajdzie krwią, ogniem się rozplomieni ciśni z czarnej źrenicy błyskawicą gniewu i śmierci. Patrzymy na te wspaniałe spiże, długim pocho-

dem idące i ugniatające ziemię swoją mocą — z jakimś nabożnym, a radosnym lękiem, z jakimś milczącym szacunkiem dla wspaniałego okazu straszliwej siły; wydaje się taka cudowna, polska armata jak ktoś w Polsce niezwykły, ktoś nieugięty, co kiedy przemówi, to gromem, kiedy krzyknie, to zabija.

Błyskające w słońcu, wydają się czasem jak żywe, tylko przyćzajone i jakoby senne, każda poważna, jak ów królewski słoń z Kiplinga, straszliwy, a spokojny, kiedy po nim łązi bez ceremonji, mały, ukochany przez słońce Tomai. Taki dzieciak, co potwory za uszy ciągnie, to każdy polski młodzieńczyk, zakochany w swojej armacie, a ona pewnie w nim.

Coraz ich więcej i więcej, aż wreszcie radość liczyć je przestaje i tylko się raduje; nie z tego, że zryją na cmentarze pola, lecz że się w nich czuje stężałą na spiż moc polską: tak oto, jak te armaty, długim ciągnące szeregiem w stronę bitwy, śmiertelnie spokojnie, a śmiertelnie straszliwe, wspaniałe w przemożnej dostojności swojej tak jakby się odwrócił głęboki nurt ducha polskiego, co zwrócił się twarzą ku nieszczęściu, spoważniał, skrzepł, stężał i idzie spokojnie ku zwycięstwu, wyrobionemu nie brawurą i fantazją polską, lecz bólem, niepokojem, męką trwóg i śmiertelnej troski o Ojczyznę. Już nic, już żadna zła, biczem spędzona siła, nie odwróci

dostojnego biegu wielkiej rzeki, która wypłynęła z polskiej skały. Mojżesz w nią uderzył kijem, tylko wcale nie pragnął tego cudu.

Niepewna jeszcze, cicha radość, urodzona już w duszy wśród warszawskich murów, radość bladolica i niedokrwista, zduszona jeszcze i przyciszona, rośnie nam w duszach jak kwiat i tryska z oczu i z niemych ust na tej polskiej drodze, po której wije się pancerny smok wojny, po której się toczy żelazny wóz, już uczciwy, na czterech kołach, jak Bóg przykazał, a nie biedka na dwóch ze złamanym dyszlem, z narowistym koniem i z żydkim, jako pasażerem. Zbiliśmy wóz z dębu i żelaza i jedziemy.

Pod Modlinem radość ta, rozlana jest w powietrzu; tu drogi już zatłoczone, tu bowiem, we wspaniałej tej, na wodach czuwającej twierdzy, jest jakiś centralny organ, skąd wojna najbliższego terenu, czerpie swoją krew. Prawa i lewa strona drogi pełna, — przed siebie jadą ci, co niosą siłę, wracają ci, którym już tchu zabrakło, ogorzali, spaleni na miedź, zatłoczeni pyłem, czasem okrwawieni, najczęściej w jednym bucie, lecz butni, lecz radośni. I oni rozumieją. Rozumieją żołnierskie szczęście boju, tego boju, z którego już się nikt nie cofnie, bo już nas tylu... tylu... Na uśmiech odpowiadają uśmiechem, szerokim, białozębnym, zdrowym i łobuzerskim. Nawet straszliwy strażnik, groźny

jak jego bagnet na karabie, zbadawszy dokumenty przy ciasnym przejściu wśród drutów, uśmiecha się życzliwie, łagodnie, niebiesko. Śliczny chłopak, któremu jednak każdej chwili jasne oczy nagle pociemniają, a białe zęby młodego, wesołego psiaka, zawrą się ze zgrzytem. Jest w tych jasnych twarzach, płową czupryną, jak źle poszytym dachem nakrytych, taka utajona siła, która śpi poza uśmiechem, że kiedy spełnia swoje funkcje wojskowe, grzecznie, lecz krótko i dobitnie, to mimowoli ciarki przechodzą i człowiek zaczyna sobie przypominać, czy na dokumencie zupełnie dobrze przybili pieczęć.

Zbliżamy się do okolic, które jeszcze „czuć” po bolszewikach. Byli tu przed dwoma dniami jeszcze, — jeszcze wystraszone niedobitki, nie mogące pojąć, co się to takiego stało, czają się po lasach i polach, jeszcze niepogrzebione trupy po drogach i po polach. Leżą oto pod krzyżem, ułożone przy sobie, nieszczęsne, prążone jakby przerażeniem słońcem. Dokoła gromadka ludu wiejskiego, jeszcze podniecona i rozmawiająca nerwowo, kopie powoli na wielkim upale dół grobowy. Zwłoki niczem nie przykryte, biedne, odarte, wołające o pomstę w niebo szklanymi oczyma. To Polacy. Do grobu włożą ich już spokojnych i pomszczonych. Po kilku godzinach widziałem już glinia-



stą, cichą mogiłę w cieniu wyniosłego przydrożnego krzyża. Ktoś klęczał przy niej i Bogu polecał dusze bohaterów, co staną przed Bogiem jaśni i czyści, choć w łachmanie skrwa-wionym, choć głowa jednego z nich rozbita pociskiem w krwawą miazgę.

Wieczny, najcichszy odpoczynek racz im dać Pani !

A i tym także, nierównie liczniejszym biedakom obłąkanym, nieszczęsnym, zmienionym djabłą chytrością w zwierzęta, pędzonym chińską kulą i batogiem. Oto leży taki jeden w prochu gościńca, okryty brudem zapyłonych ran, młody, może ośmnastoletni chłopak, z jasnymi włosami. Urodził się może w permskiej gubernji, a zginął na drodze z Nasielska do Pułtuska i ginął pewnie przerażony, jak przerażony szedł do tego dalekiego kraju, o którym może nigdy nie słyszał i nigdy nie wiedział — nieszczęsny głupiec, — na co, po co i za czyją sprawę. Zdumiałby się śmiertelnie, gdyby mu można wytłómaczyć, że dlatego zginął on i tysiące ich, aby w dość parszywym miasteczku mógł bolszewicki komisarz przybić proklamację na kulawym słupie latarni—równy na dwa dni.

Miałem w ręku taką proklamację, na żółtym papierze, pisaną blado na złej maszynie, głupią, bezczelną, a przedewszystkiem już nudną. Proklamacja nosi Nr. 1, — biedactwo, zginęła bez-

potomni ; między innemi darła się w głos w „murach” Nasielska na takie tematy:

„...Wszystkie prawa byłego polskiego rządu burżuazyjnego kasuje się, a wchodzą w życie prawa R. S. F. S. R. aż do wydania praw przez rząd robotniczo-włościański polski. Miasto Nasielsk zostało oczyszczone z białopolskich wojsk. Przez wydział Rady Podziwu (?) N. N. dywizji ja zostałem naznaczony przewodnikiem wojenno-rewolucyjnego komitetu miasta Nasielska, który jest odtąd jedynym wojennym i cywilnym organem władzy w tem mieście. — Aleksiejew, — 13 sierpnia 1920 roku.”

Pan Aleksiejew jest to stanowczo człowiek głupi. Któż widział, aby taką straszliwą proklamację, od której zadrżały i tak już walące się domy tego miasta, — wydawać dnia 13!?! Co gorzej! — Trzynastego to był piątek. Więcej niż głupi jest towarzysz Aleksiejew. Tow. Aleksiejew jest nieprzezorny warjat, co mu musiało przyjść do głowy w poniedziałek, kiedy uciekał. „Źle mi się tydzień zaczyna, rzekł kogut, zarzynany w poniedziałek” A jeśli mu to przyszło do głowy, to szkoda, że nie razem z polską kulą, chociaż do twarzy byłoby mu na tej samej latarni, na której powiesił proklamację.

Jednak zdumiewającą jest energja tego wszawego zgromadzenia w rozwijaniu propagandy. Uczyć się nam tego trzeba od nich, bo to je-

dno, poza mordowaniem, doprowadzili do mistrzostwa. Oto w takim biednym Nasielsku, w którym byli przez trzy dni, urządzili agitacyjny meeting, dwa odczyty z przymusowymi słuchaczami i „czerwony koncert“. Jak na trzy dni, program niebywały. Zapowiedziana wielka mowa odbyła się już kilkadziesiąt kilometrów za Nasielskiem, okazało się bowiem, że okrutnie był jej ciekaw kawaler „Virtuti Militari“, ppułk. Koc i jego cudowne pułki ochotnicze. Pędem tedy wjechali do Nasielska, nie zastali już jednak towarzysza komisarza, który obrażony, że mu nieuprzejmie nie pozwolono na wydanie drugiego numeru proklamacji — zwiął, aż się zakurzyło pod Pułtuskim.

Nie można już było, niestety, przeszkodzić wywiezieniu zakładników, których przezornie zabrali jeszcze w sobotę, mimo serdecznych i głośnych błagań całego ludu. Porwano trzech czcigodnych księży, siwowłosego kanonika Dmuchańskiego i wikarych Turowskiego i Wilczyńskiego. Ktokolwiek dziś z mieszkańców miasteczka mówi o tem, każdy blednie; kobiety mają łzy w oczach, mężczyznom drżą szczęki i zaciskają się zęby. Milczące podniesienie w górę rąk woła jakiejś strasznej pomsty bożej. A równocześnie czuje się, że prosta, uczciwa dusza robotnika, wzdryga się na widok ohydy, plugastwa i cynizmu, na widok kłam-

stwa, które woła o sobie, że niesie w prawej ręce „wolność“, a lewą — zabija. Pojął to dziś każdy, kto choć przez dwa dni stykał się z tem wszystkim. I zrujnowana, okradziona, pogwałcona wieś polska to pojęła.

W Nasielsku, podczas trzydniowego pobytu zabrali bolszewicy wszystko, co zabrać było można, rzeczy potrzebne i niepotrzebne, te niepotrzebne, to już tak dla złodziejskiej satysfakcji. Bolszewicy pozatem, że zjadają wszystko, jak szarańcza, postępowali jakby planowo tak, by okraść zajęte miasto do szczeru, aby w niem nic nie pozostało, prócz rozpachy i dzikiego pragnienia zemsty. Metoda ta ma i zbawienne skutki, bo nawróciła niejednego grzesznika, który przy odwrocie wojsk polskich pożałował ledwie dyszącemu i padającemu z umęczenia swojemu żołnierzowi szklanki mleka, lub kawałka chleba; teraz wybiega naprzeciwko niego, czasem na kolana pada i patrzy z rozplakanem, zdumionem szczęściem na tego samego żołnierza, jak na anioła, zbawiciela. Oddałby mu już teraz wszystko, — tylko, że oprócz łez i okrucich rozpachy, mało więcej mu pozostało.

Ludzie z okolicznych wiosek, jakby własnemu nie wierzyli szczęściu; strasznie trudzą Pana Boga westchnieniami po każdym słowie, opowiadając wszystko, co przeżyli, opowiadają zaś chętnie i niespokojnym wzrokiem badają wyraz

naszych twarzy, jakby z nich chcieli wyczytać pewność, że zmora już nie powróci. Ogorzały chłop zatrzymuje się przy nas w polu, gdzieśmy spoczęli w „ciepłych” jeszcze bolszewickich okopach i sam, nieproszony, zaczyna opowiadać, jak nielitościwie jego i całą prawie wioskę popędzono z furmankami; każdemu zabrano najlepszy wóz i konie, ich zaś samych goniono jako woźniców, żywiąc strasznie, grożąc kulą za każdą próbę ucieczki. Temu udało się uciec; zostawił konie i klucząc lasami, dotarł do swoich stron, przerażony i szczęśliwy równocześnie.

— Jakież to ich wojsko? — pytamy.

— To nie wojsko,—powiada,— to zwyczajna hadra, taka litwa, psia ich mać, że aż dziwne, skąd ducha mają.

Pewnie musi to być jakieś niesłychane drańcie, określone przez „hadrę”, a szczególnie przez tę „litwę”. Takiego epitetu jeszcze nigdy nie słyszałem, ale musi w tem tkwić jakiś bezmiar pogardy.

Opowiada nam potem, jak napotkał bolszewickiego oficera Polaka, z którym po polsku rozmawiał.

— A cóż ten złodziej, naprawdę Polak?

— Prawdziwy. Gadał, że rodzinę w Warszawie ma, a jak teraz wejdzie do Warszawy, to już się nie ruszy, bo ma dosyć wojny.

Nie znał nazwiska tego „Warszawiaka“, które musi być zapewne bardzo dźwięczne.

Nerwowo, z przejęciem, wszyscy na raz, szeroko gestykulując, opowiadają wszyscy o niedawnych bitwach, szczególnie kobiety.

— Tu stał rusek, a tam, od stodoły, nasze szli, a stamtąd—o, gdzie drzewa, armaty ruskie strzelały, tam, gdzie ich oficer jeszcze leży. A polskie wojsko to im dało żaru, Panie Boże, to ci rusek uciekał, ale krowy to jeszcze pędził. O, bodaj ich zaraza...

— A dwór kto rabował?

— My nie. Powiedzieli, że dworscy mogą wszystko brać, to brali, ale wszystko jest w porządku i oddadzą. A co we dworze zostało, to porznęli i połamali.

Jakaś babina, nie mogąc się uspokoić z radości, znalazła wcale godziwy sposób jej zamifestowania, bo widząc, że przysiadłszy w rowie, gryziemy suchy chleb, pognęła na łeb i szyję do wsi i przyniosła mleka, chleba i wody. Czuć było, że to z całego serca, a córeczka, ładna dziewczynka, niebieskooka Ewcia (ze wsi Dacki,—adres podaje się dla korespondentów wojennych) patrzy na polskie mundury, taka zdumiona, zarumieniona i szczęśliwa, że jej aż oczy płoną. Niestychany ten, niebiański zachwył tłumacząc sobie boskim wyglądem żołnierskim Wł. Perzyńskiego, który był z nami



i który poraził dziewczęce oczy, w całej bowiem armji na nikim mundur tak zrezygnowanie i beznadziejnie nie wisi, jak na nim. Sielankę przerywa rozkaz władzy, która przez palce patrzy, jak radość pięknego dziewczęcia nagradzam strzelistym, jak huk z karabinu, pocałunkiem, za co śmierć nie grozi.

W Nasielsku rezydował wówczas ppułk. Koc, na którego patrzyłem z podziwem, jako na człowieka sławą wojenną otoczonego, o czem oznajmia błyszczący na jego piersi święty polski krzyż Virtuti Militari. Rezydował w budynku poczty, gdzie jeszcze jęczą telefony, a za chwilę zapanuje cisza, wojsko bowiem za pół godziny rusza dalej. W „gabinecie“ dowódcy stół z mapą, obłokanie kulawe krzesło i trochę słomy na podłodze, tak cudownie po spartańsku, że się miło czyni. Kłębi się tu i wre, dzieje się coś niepojętego dla nas, lecz pewnie bardzo ważnego, jakaś gorąca, bujna krew krąży przez te żyły drutów telefonicznych, w aparacie mieszka jakaś straszna dusza, która jest w zmowie z daleką śmiercią, dusza, co nie lubi przesady słów, niecierpliwa, objawiająca swoje zadowolenie, lub niecierpliwość nagłym, krótkim, urwanym jękiem dzwonków, jakby nudząca się gdzieś w polu śmierć pytała co moment, co ma czynić, czy odpoczywać, czy iść naprzód i zabijać? A ci ludzie, co rozkazują mocy i śmierci, spo-

kojni i cierpliwi: wazą wszystko, wszystko obejrzają, sto razy zmarszczą czoło i oczy przymkną po sto razy, zanim jedno jakieś żelazne wypowiedzą słowo, co wpada w aparat, jak ognista kula i rwie błyskawicą przed siebie. O, jak cudownie pięknie jest w tej kuźni wojny! Milczący podziw każe się mimowoli prostować na „baczność” przed każdym z tych ludzi, którzy nie wiedzą o całym świecie, nie śpią i nie jedzą, tylko dusze swoje młode, jak łuki napiąwszy, patrzą ostrym wzrokiem gdzieś przed siebie, gdzie się dokonywa jakieś krwawe, ogromne dzieło, jakiś wielki cud, co jak kwiat wyrasta z rozgorzałego serca, napelnionego otuchą, nadzieją i wiarą. Nikt tu nie próżnuje, nikt o nic nie dba, tylko o rozkaz, to wielkie, święte słowo, tak mało w Polsce znane.

Wreszcie króciutki moment odpoczynku, zanim ruszą znów dalej orłowym swoim szlakiem. W grupie oficerów znajduję kilku przyjaciół, z którymi witam się z nieśmiałym rozczuleniem. Wszyscy są na wojnie! Wszystko czarne, zakurzone, z obwiązaniem rękoma, lub z białym pasmem bandażu przez czoło i wszystko — szczęśliwe. Szczęśliwi są, bo idą naprzód. Widać to na każdej kochanej żołnierskiej gębie.

Co ci ludzie przeszli! A mówią o tem, jakby o wczorajszym przedstawieniu w teatrze. Opowiada nam to wszystko ten młody, ranami

pokryty dowódca, a zdaje się, że jego krzyż coraz jaśniej błyska na słońcu,—oficerowie zaś tylko uśmiechają się na wspomnienie, zaczem któryś znacząco głową kiwnie, bo to on był właśnie tam, w tem piekle.

— ...O, drogi panie! ciepło było. 5 sierpnia otoczyli nas dranie, bośmy stracili łączność z dywizją. Otoczyła nas masa kawalerji w jednej wsi koło Wyszomierza.

— No i co? no i co?

Uśmiechnęło się tylko kochane bractwo.

— No i ic. Śmierć pohulała, a my grupkami na Różany i Wyszaków...

— Jakie to wojska?

— Ochotnicy!

Wyraz padł dostojnie, w oczach wszystkich odmalował się szczerzy zachwyty.

— 201, 202, 203 i 101, — przytem grupa majora Sieranta i brygada artylerji. Zadyrygowali nas potem do rejonu Modlina, gdzieśmy się zgrupowali na nowo. Zadaniem naszym było następnie powstrzymanie niesłychanie silnego, niemal rozpaczliwego naporu armji bolszewickiej w kierunku obejścia lewego skrzydła frontu polskiego.

Z płonącemi oczyma śledzę w myśli tę drogę nadludzkich trudów. Ten zaś człowiek, na oko nikły, suchawý, a jakiś orli żelazny, mówi najspokojniej:

— Tu było strasznie ciężko. Nad rzeką Wkrą. Dywizja nasza szła przez ogień i krew. Chłopcy nasi bili się jak lwy z jakąś wściekłą pogardą śmierci...

— Ochotnicy?

— Tak, oni. Wrąbali się w bolszewików, rwąc ich jak można. Ale ciężko... wielkie straty...

Głos zelżał dowódcy, przez duszę musiał mu przebiec cień serdecznego smutku.

— ...dziesięciu oficerów padło jednego dnia.

Dziesięciu nieśmiertelnych przybyło dnia tego Ojczyźnie, zaś z opowiadań szczerych i entuzjastycznych wiem o roli oficerów, zachowujących się świetnie, najświetniej zaś w pułkach ochotniczych, gdzie oficer jest doprawdy, że piastunem, że jest niemal matką tych orlich dzieci, bijących się jak napoleońska gwardja. Stosunek do wojska więcej, niż serdeczny, bo braterski. A to ochotnicze wojsko nietylko teraz dokazuje cudów, gdy naprzód idzie, lecz przy cofaniu się, choć cofało się jedynie na rozkaz, było w wybornym stanie ducha i pytało jedynie niespokojnie: „Po co się cofamy!”

Teraz panuje tam u nich radość i duma. I ja byłem dumny, że jestem, choć krótko, wśród nich, że ten i ów serdeczniej rękę mi ścisnął, dziękując za piosenki. O, gdyby można było tak odrazu serce na piosenkę zamiast iść, — wróciłbym bez serca, bo z nimi nie można inaczej.

Jakieś światło jest dokoła tych ludzi, co im z oczu tryska. To są ludzie wojny, kochankowie wojny, a te świetne słowa, które o armji polskiej głośzą dziś po świecie, doprawdy, że zbyt są blade, — trzeba dopiero stanąć wśród tych ludzi. Odwrót konieczny śladu już nie zostawił na tych ludziach, dziwne mających dusze, dusze dziecka i bohatera. Przeszły chmury przez niebieskość tych dusz, więc się na moment zaćmiły, lecz już odzyskały pogodę, już są pełne słońca, już je ogarnęło to święte szaleństwo poświęcenia, które się więcej stało czujne, bardziej przezorne i przez to straszne dla hordy przerażonej, może nie tyle deszczem kul, co tem złocistem, oślepiającym objawieniem ducha. — Przed tą nieodpartą mocą płomiennego wzroku, którym patrzy przez oczy tych bohaterów dusza Ojczyzny, — skomląc, musi w przerażeniu ujść zwierz dziki, krwawy i tylko podstępny. Męstwo jest cnotą ludzi wolnych, dusz, jasnych, jak stal.

A takie dusze jasne spotyka się dziś w Polsce na każdej drodze, na każdej ścieżynie.

Oto w obłokach pyłu, dźwięcząc i pokrzykując, ciągnie nieskończony ich szereg w stronę Pułtuska w pościgu za zwierzem. Kilka oddziałów z pułków ochotniczych — na czele przedziwnie miły, ukochany przez żołnierzy pułkownik Helman, na czele dywizjonu artylerji C. O.

P. S-a, kap. Zdziechowski, dokoła nich oficerowie, z których każdy ma na twarzy wypisane jakieś bohaterstwo, a za nimi chłopaki szare, najmilsze, jasne, idące na bitwę z powagą, która pryska na widok gazet. Człowiek, co przez trzy dni nie jadł, nie rzuca się na chleb z taką zachłannością, jak te chłopaki na gazety. Mignęły tylko białe karty jednodniówek II odd. G. J. A. O. i zginęły w szeregach, już zaczytanych, a wciąż wyciągają się ręce pus'e, dla których już tego duchowego chleba zabrakło. Nie może go braknąć, za wszelką cenę nie może!

Przez krótką chwilę postoj u słyszałem krótką opowieść o rzeczach, wobec których sto powieści polskich (razem z mojemi) warte są torby sieczki. Zdaje się, że już śmierci znudziło się uganianie się za tymi ludźmi. Już ich miała w szponach, już ich otoczyła tak, że im brakło tchu, a przecież tchem ostatnim dobyli się z piekła i teraz idą regulować rachunki. O, niech Was, Bóg ochrania, najdrożsi.

Ruszyli z przeciągłym wołaniem rozkazu i poszli szlakiem zwycięstwa, a miłość narodu za nimi. Tą miłością stali się tacy silni i tacy dumni. Czują ją, wiedzą o niej i radują się nią, jak dzieci. Przy każdej sposobności wspominają o tem z radością, że się tam poza nimi naród skupił, że się sprzął, a oni z wielkiego serca narodu czerpią krew, gdy im ich własnej



zabraknie, kiedy wyciekła przez sito świętych ich ran. To też niemal dziecinna radość ich ogarnia na widok każdej oznaki tego sprzężenia się i pamięci o nich. Związał się naród sercem z swoim wojskiem, — o, niechże jeszcze silniej się zwiąże, niech całą miłość swoją tym dzieciom odda najdroższym.

Bo to dzieci! Siedzi sobie pan major Sierant z porucznikiem i je „obiad“ przed wyjściem na pozycję. Obiad składa się z mizernych klusek, przypominających dość żywo glisty. Pan major, jako starszy, je te kluski łyżeczką. Pan porucznik z obwiązaną ręką łowi je jakimś innym narzędziem, patykiem, czy obsadką pióra. My siedzimy na czymś, co było łóżkiem (we dworze bardzo białym, w domu, który prawie wcale nie ucierpiał), — a panowie oficerowie, ile razy spojrzą w okno, tyle razy się śmieją. Rzecz prosta, że człowiek jest okropnie ciekawy, co wesołego może być w czterech głupich szybach.

A pan major powiada:

— Bo to, widzi pan, tu była straszna heca, Siedzieliśmy tutaj, a bolszewicy obeszli park, w którym spoczywały nasze chłopaki. Zaczęli strzelanie, a myśmy ich, ot, tu, za tem oknem, dopuścili na dwieście kroków. Dopiero potem, uważa pan, nasze chłopaki z maszynek... To

było nadzwyczajne... Boże, co się tam z nimi  
działo!... Ale te kluski, ścierwo, zupełnie zimne...

A i mnie się w tej chwili też zimno zrobiło.  
Te dwieście kroków, to w istocie obłąkanie  
wesole, ale dla tych najdroższych warjatów,  
których niech Bóg ochrani !



# CUDOWNA PODRÓŻ



## NA POKŁADZIE „WARNEŃCZYKA“

**J**eżeli „cudowną „podróżą“ była u Selmy Lagerlöf jazda podniebna na grzbiecie dzikiej gęsi, równie cudowną była podróż moja na pokładzie prawdziwego polskiego wojennego okrętu Wisłą z Warszawy do Tczewa, jak w bajce: polski okręt wojenny, taki mały, jakby dziecinny taki ukochany, jak zjawisko z bajki. Rozrośnie się ona w dalszym ciągu niniejszej opowieści i po wysrebrzonej księżycem polskiej rzece, płynąc będzie cała flotyla, mała i groźna, a tak dumna, że serce na jej widok rosło, wsłuchane w radosny łopot polskiej bandery. Wszystko to zresztą zostanie tu opowiedziane z dokładnością żeglarskiego dziennika: busolą tej opowieści będzie serce, chorągwią na maszcie radość, zaś każde słowo będzie ostrzem kotwicy, co się w polską ziemię wgryza, stałe i wierne. A jak biała mewa, biały kwiat rzeki, co czasem nad statkiem przeleci, będzie czasem wesołe wspomnienie z tej najmilszej podróży.



Marynarzem zostałem w sposób wcale gwałtowny; przyszedł rozkaz, szarpnął mnie bezceremonjalnie za mundurową kurtkę powiada:

— Pojedziesz Wisłą na statku wojennym.

— Dokąd? — pytam zdumiony.

— Dokąd się nam będzie podobało.

Wisłą można zajechać wcale daleko; wielu czerwonogwardzistów pojechało nią prosto z Płocka na tamten świat, a gdzie Płock i gdzie tamten świat? Podróż tedy nie była jaka i to wodą, elementem nieobliczalnym, wobec zniesienia zakazu sprzedaży alkoholu, wcale zbytęcznym, histerycznym i nie miłym. Widząc moje wahania, gwałtowny rozkaz nieco zelżał i powiada:

— Nie bój się! pojedzie z tobą Włodzimierz Perzyński i człowiek tak poważny, jakim jest ojciec „Grzesia“, malarz Kamil Mackiewicz.

Zadrżała pewnie „klepsydra w rękach Czasu“ i na jedną mgnienie Wisła przestała płynąć, usłyszawszy takie trzy bohaterskie imiona, z których każde jest jak wystrzał z ciężkiej armaty. Oszalały pewnie z radości wszystkie wiślane ryby i podrożały w tej chwili z piekielnej dumy i nadziei, że będą karmione literackim mięsem. Po rozmowie tedy z duszą, po zrobieniu testamentu, udaliśmy się na pokład, jako marynarze, ucząc się przedtem przez dwa dni plucia na odległość, ciągłego zadzierania głowy w stronę

chmur, badania kierunku wiatru przez podniesienie ręki i żucia tytoniu, jednym słowem wszystkich nawyknień marynarskich, które się zna z morskich powieści. Trudno było jedynie postarać się na przódce o dwie jeszcze zasadnicze właściwości starych „wilków morskich” — o długie brody i o kochankę w każdym portowym mieście, o to drugie szczególnie. Radowaliśmy marynarską dumę nadzieją, że z czasem, podczas długiej podróży brody nam urosną i dokładnie poznamy miasta portowe.

Czując haniebną śmieszność lądowego szczura, wchodziłem na pokład „Warneńczyka” trochę ze strachem i trochę ze wstydem; miałem wrażenie, iż kładka z lądu na pokład drży przerażona, że na pokład okrętu wchodzi taki, co pisze, co się boi wody, pluje na odległość metra, zamiast na przepisową odległość czterech stóp i pięciu cali i który nie umiałby po za idiotycznym węzłem krawata, zawiązać choćby jednego węzła uczciwego, choćby tylko w „ósemkę”. Poznałem jednak od pierwszej chwili, że marynarze mają serca zacne i że patrzą dość życzliwie. Można było wprawdzie w błysku porannego słońca przeczytać w tem spojrzeniu niejedno, takie na przykład dobrotliwe uwagi: „Jest jamnik na pokładzie, to i taki marynarz niech się kręci”, albo „Zdechła ryba także pływa”, albo, „Jeśli będzie zbyt przeszkadzał, to do

wody nie tak daleko“, albo jeszcze serdeczniej. „Wstyd z taką gębą puszczać się na wodę“. Były to jednak tylko dobrotliwe przedwstępne uwagi, do niczego nie obowiązujące, po tygodniu bowiem wspólnego przebywania na wodzie, nie było w całej Polsce lepszych przyjaciół, niżli my i polscy marynarze, którym Bóg niech da zdrowie i najlepsze okręty na świecie.

Mamy płynąć na statku „Warneńczyk“, po drodze zaś będą się do nas przyłączały inne statki wojenne, okręty, z których każdy ma już swoją historję, historję bohaterską, zakończoną strofą o śmierci, które tak niedawno woziły żydów z Warszawy do Włocławka, a dziś wożą cudownych żołnierzy, opancerzone żelazem, strojne w armaty i już krwią pofarbowane wożą bohaterów, z których wielu ma Virtuti militari, wożą wojsko wspaniałe, zaciekle i śliczne, o którym jeszcze w Polsce mało kto wie, a że to są ludzie beznadziejnie skromni i poza swoją ukochaną wodą i karabinem maszynowym, niczego widzieć nie chcą, więc ich nikt nie widzi. Uprzedzam więc, że z rykiem syreny okrętowej będę wołał o miłość dla nich, choć dla uczciwego Polaka okręt i tramwaj, to jedno, a koń to grunt. Myśmy nawet przecież po morzu jeździli konno.

„Warneńczyk“, na którym jedziemy, jest okrętem sztabowym. Flaga na szczycie masztu

oznajmia, że na pokładzie znajduje się dowódca flotyli wiślanej, ten statek tedy pozbiera po drodze wszystkie inne i powiedzie je na defiladę, „braciom na otuchę“, — Niemcom zaś, którzy się zbiegli tłumnie po drodze, na zdumienie i na zapalenie wątroby.

„Ale „jedźmy! nikt nie woła!” Warszawa, co uciekła od wiślanych brzegów i której królewski zamek nawet parszywym rosyjskim parkanem odgradzili od Wisły, nie widzi małego okręciku, co skromnie u mostu się chwieje, spokojny spokojem swego żelaza i patrzy jakby z miłością wielką na miasto, a woda, co o boki jego z miłosnym szeptem się ociera, szemrze: „Oto jest jeden z tych, co na fali mojej walczyli pod Płockiem, oto jeden z żelaznych, najwierniejszych sług twoich, którzy cię obronią, oto żołnierz któregom umiłowala wiernie, ja rzeka, jak syna, albowiem narodzony jest ze mnie“. A Warszawa może nawet nie wie o tem, że jak mewa, tak ten statek do jej brzegu się przytulił, a za chwilę, tęsknie na nią spojrzawszy, popłynie w dół rzeki i tam nagle ze skromnego uczyni się dumny, groźnie śrubami warczący i patrzeć będzie pilnie i bystrze w łęgi nadbrzeżne czarnemi oczyma kilku karabinów maszynowych; będzie krążył u tych brzegów i strzegł ich, jak wierny pies, co obiega podwórzec, czujny i kąśliwy.

Syrena ryknęła przeraźliwie i boleśnie, jakby z rozdartego serca, a koła obrotowe, jak niewolnicy, co dotąd odpoczywali, na ten straszny głos, jakby nadzorcy, rzuciły się szybko do pracy i zaczęły bić wodę szerokimi łapami, z klaskaniem wielkiem, jak kiedy zdrowe, mocne baby kijankami walą w zmoczone płótna. Ugodzona w zjeżony łeb umknęła fala jedna, a druga już podbiegła, silniejsza i zła; więc ją szeroka, żelazna łapa znagła trzaśnie po pysku, aż bryzgi poszły naokół. Powstał szum i warczenie. Za co bijesz? pienia się fale i cały ich tłum, zbuntowany przez wiatr, agitatora, bieży ze wszystkich stron, zwołuje się od Pragi, z wirów podmostowych i marszcząc się na gębie ze złości, wali się pod rozmach kół, które wpadły w szal i rwą fale i drą je na łachmany i trą w pył, aż się rozprysły i rozbiegły i usiłują kąsać okręt po bokach, i odpadają ze wstydem i zdumieniem, bo okręt ma ściany żelazne; więc roztrącone, zaczynają biec za okrętem szeroką, spienioną ławą, aż zmęczone, zadyszane, oślepięte pianistymi bryzgami odbiegają ku brzegowi, kąsać ze wściekłości piasek i żwir. A wielka rzeka, jakby uradowana z tej zabawy śmiesznej i bezustannej, uśmiecha się w słońcu i z politowaniem patrzy na wiatr, co ją chce zmacić i ruszyć aż do dna i co bieży przed okrętem, zadyszany i gwizdże ostrzegawczo, że

nadchodzi taki jakiś okręt dziwny, cały z żelaza, któremu nagonka fal rady dać nie może i który leci ponad nie szybko, jak jakiś wielki ptak bezskrzydły. Więc po pierwszych zamętach przy wyjeździe, po zbuntowanych wirach, dalej już jest spokojnie i rozpoczyna się jakaś wspaniałość wody, która niesie statek dumna i spokojna. Płyniemy zygzakiem, gdyż Wisła, rzeka szczerze polska, nie ma pretensji do głębi i lubuje się w mieliznach, na których można łatwo skręcić kark, co w odniesieniu do okrętu wyraża się przez rozdarcie brzucha. Co krok widać przez szybkę wody wielką łysinę mielizny, tak, że autor „Polityki“, patrząc melancholijnie, powiada mi cicho:— Mówiłem, żeby zabrać butelkę oliwy. Przy przejściu przez koralowe rafy na Indyjskim wylewa się zawsze oliwę, aby uspokoić morze.

Płyniemy jednak ślicznie i wesoło. Na duszy się robi jasno szczęśliwie; niema gazety, niema teatru, nie rozjedzie człowieka ciężarowy automobil, kołnierzyk wypierze sobie człowiek sam i nie zapłaci dziesięciu marek, nie przyniesie nikt do „łaskawego przeczytania“ dramatu w czternastu aktach, nikt nie sprzedaje kwiatka na rzecz trzynastego oddziału drugiej sekcji towarzystwa imienia świętego Kapistrana, nikt nie opowiada plotek politycznych, bo gdyby się znalazł jeden taki z powyższej serji, zostałyby



utopiony natychmiast z pomocą któregokolwiek zacnego marynarza. Naprawdę jest dobrze; wiatr porywa z oczu, wszystko, co do nich obrzydliwego przyłgnęło, ociera z duszy wszystkich kurz. A woda się świeci i cicho szumi, zacna polska woda, spokojna i łagodna, szemrząca tak jakoś rytmicznie, jakby układała wiersze, bo wody i wierszy jest w Polsce dostatek.

Literatura malarstwo łązi po pokładzie ostrożnie, nie zbliżając się zbyt do burt, bo to niby wszystko spokojne, ale strzeżonego i t. d. i słucha, patrzy, trochę z zawiścią, trochę zaś z podziwem, co to wyśpiewuje wiatr, jakie cudowne nonsensy wygaduje woda, co wymalowuje na niej słońce i jakie kolory wstają na brzegach, już złotych, albo zarumienionych wielkiem, serdecznym wzruszeniem w przeczuciu śmierci. A im dalej, tem się ta Polska czyni piękniejszą. a brzegi, jakby chciały nadrobić to, że im kazano wyglądać „przyzwoicie” u stóp stołecznego miasta, zupełnie ószalały, skąpane w słońcu podmyte wodą i czołgają się ku niej, źle skrojone, zaniedbane, zarosłe gęstwina wiklin, bujne i rozweselone.

Z kolei należy się przyjrzeć „ludziom wodnym”; właściwie trudno jest przeprowadzić obserwację dokładną, gdyż załedwie zacząłeś rozmawiać z takim dziwnym człowiekiem, co się nigdy nie bał wody, już go gwizd jakiś wyniósł



na drugi koniec okrętu, zaledwie, stojąc na górnym pokładzie, uśmiechnąłeś do jakiegoś przemilego człowieka w marynarskim mundurze, kiedy ci on znika nagle pod stopami, zsunąwszy się po metalowej poręczy schodów, jak widmo, taki bowiem człowiek od morza, uważałby sobie za hańbę zejście po dziesięciu schodach zwyczajem, przyjętym u ludzi, chodzących po ziemi, kiedy to można załatwić jednym skokiem, któryby się skończyć powinien skręceniem karku wedle praw boskich i fizycznych. Kiedy widzimy na dobitek, że sobie chłopaczkowie łążą po jakimś grzysie na boku okrętu, a czasem się który przy tem skręci w ósemkę, jak lina, patrzymy na siebie nieco niespokojnym wzrokiem, na temat: Jezus! Marja! byle nam tego nie kazano robić!

Zdaje się jednak, że to tym zacnym ludziom, nie przyszło do głowy, za co im Pan Bóg da zawsze wiatr pomyslny; mieli zresztą co innego do czynienia, bo ich dotknął zupełnie wyraźny szlachetny obłęd na temat ich okrętów; tak kochają te swoje potwory, że niema dla nich dosłownie niczego na świecie. Jak dzieci stare, kochane i strasznie zacne, tak się cieszą tym swoim okrętem, tak się przejmują każdym drobiazgiem, że doprawdy, patrzeć trzeba było czasem z rozczuleniem i z rozrzewni iem. I to nietylko oficerowie, ludzie, którzy jeździli na

największych pancernikach świata, opłynęli ziemię i znają każdą portową dziurę, cieszą się i radują swoim okręcikiem, ale i załoga, chłopaki kochane, bujne, ciężko pracujące, a zawsze wesole. Powiedz takiemu, że słońce dziś jakoś głupio wygląda, — odpowie ci, że gorzej niż głupio. Powiedz takiemu, że trzeba, żeby były dwie Izby, odpowie ci, że on będzie rad, jeśli będzie trzynastu prezydentów i dwadzieści cztery Izby. Ale potem mu powiedz, że jeździłeś już większym okrętem, niż „Warneńczyk” i że znasz jeden okręt amerykański, który, zdaje się tylko! większą ma od „Warneńczyka” szybkość łańcuch kotwiczny dłuższy o dziesięć sążni, wtedy ci odpowie, że tylko idjota dzieciczny, człowiek wogóle bez czci i wiary, widział okręt piękniejszy, ładniejszy i miłszy, niż „Warneńczyk”, a już zwyczajny łajdak, którego nawet utopić nie warto, który nie jest godzien tego, aby go święta woda nosiła, może twierdzić, że jest na świecie okręt, który ma dłuższy łańcuch kotwiczny. Odkryłem tedy wielką sztukę jednania sobie serdecznych przyjaciół na okręci — robi się to tak: podchodzi się do marynarza, który zawiązuje linę i mówi się od niechcenia: „Ach, jaka cudowna lina! Jaki wspaniały węzeł! O, taki to się nigdy nie rozwiąże! Zjeździłem pół świata i nigdy nie widziałem czegoś podobnego!” Wtedy zacnemu marynarzowi

wchodzi słońce na kochaną gębę, patrzy długo zdumionym wzrokiem, nic nie mówi i szybko odchodzi. Idzie szybko do zgromadzenia marynarskiego, któremu szeptem, mocno gestykulując, powtarza szlachetne słowa, poczem zgromadzenie orzeka, że „ten z lądu, co to здавало się — małpa z gęby, to strasznie dobry chłop i zna się na marynarce, jak mało kto!“ Potem już patrzą na ciebie nietylko mile, ale przy spotkaniu każdy się uśmiecha, co znaczy tyle, że masz łaskę wody i choć nie marynarz, uważany jesteś przecież za człowieka. Na jednej łodzi motorowej to mi te zacne chłopaki mówili nawet: „Panie poruczniku!“, a to chyba tylko dlatego, że, okazując niefrasobliwą bez troskę, usiadł na czemś takim, na czem była rozlana czarna, lepka maź, jakby to zrobił każdy stary marynarz. Na wielkim okręcie nie było mazi, więc pozostałem przy dawnej szarzy, co obopólnej naszej miłości nie przeszkadzało. A kiedy w jakimś mieście po drodze przyniesiono na pokład nowe mundury marynarskie i mój znakomity przyjaciel wziął jeden na próbę — drogie chłopaki dosłownie zwarjowały z radości i podniosły go w górę, a wrzask był taki, że dzikie kaczki gromadami uciekały z brzegów.

Cudowne to jest w każdym polskim żołnierzu, że kocha tak serdecznie żołnierkę swoją,

swoją najdroższą „maszynkę“, armatę, konia,— a marynarz kocha okręt; czasem jest to aż wzruszające, bo prostota w okazywaniu tego przywiązania, ma w sobie coś dziwnie dziecięcego; cała dusza dobrego chłopca, całe jego proste serce, zakłute jest w ten przedmiot nieżywy, a taki dla niego żywy, w ten karabin maszynowy, z którym on jeden umie gadać, a tamten gada z nim, któremu wymyśla czasem ciężkim słowem, a zasłoniłby go własną pierśią. A marynarz zna okręt swój, jak ułan konia, zna jego zalety, przejrział wszystkie jego narowy; kocha go jako swój dom, w którym mieszka jego ojciec — komendant i jego najmilsi bracia, koledzy, który go karmi, odziewa i przytuli do snu i który mu się czasem stanie trumną, jak tym kilku, co na wiślanych wodach polegli. Więc mu poświęca każdą chwilę, wiecznie go czyści i zawsze do niego tęskni, a kiedy wjeżdża do portu, a na brzeg wylegną ludzie, ze zdumieniem patrzący, — wtedy ten dobry chłopak nosa do góry zadziera, straszliwie dumny, jak by chciał rzec: Patrzcie do syta i cieszcie się! To „mój“ okręt!

Tak, to „jego“ okręt, bo w tem żelaznem pudle zamknięta jest jego żołnierska dusza, a jeśli wszyscy marynarze na świecie kochają swoje okręty, to przecież Anglik nie miłuje tak swojego żelaznego olbrzyma, który inżynierowie

zbudowali dla niego w dokach, jak polski marynarz kocha swoje lilipucie okręciki, bo on je za to jeszcze z całego serca miłuje, że on je stworzył. On wie, że jego ukochany dowódca, pan kapitan Jarociński pracował do siódmego potu, aby wyprowadzić te statki na Wisłę, że wszyscy oficerowie i wszystkie chłopaki z załogi, pracowali bez wytchnienia, by jakieś stare pudło statku, który w najbardziej zwarjowanych snach nie marzył o tem, że będzie ostrzeliwany na Wiśle, przystroić, obić pancerną blachą i urządzić po ludzku. Jakżeż ci ludzie nie mają namiętnie kochać swojego statku, kiedy chorągiewka sygnałowa, kiedy najmniejszy drobiazg własnymi ich został uczyniony rękami? To też są to ludzie niezwykłego pokroju, ludzie wojny i morza, ludzie, z którymi rozmawiać trzeba inaczej, niż ze wszystkimi, tęskniący do wielkich rzeczy, wielkich mórz i wielkich okrętów, a na tę rzekę, na którą polski wiatr ich zagnał ze wszystkich stron świata, patrzący z miłością. Niejeden z nich, już siwy, po wielu latach włóczęgi po całej ziemi, po przygodach Maine Ryde'owskich, znalazł się na Wiśle, więc zapomniał o Liwerpoolu i San Francisco, zapomniał o oceanie i tylko o jednym mówi i o jednym myśli, aby można uregulować tę rzekę, aby jak najlepiej uzbroić statki, aby jak najwięcej ludzi nauczyć w Polsce sztuki żeglarskiej i aby jak

najprędzej flota polska stała się mocną. Nie było podczas naszej podróży innego tematu, tak, że wreszcie przekonałem się, że ten zacny naród pływający, ma dość wyraźne pretensje do Pana Boga, że gwiazda polarna świeci na wielu morzach, zamiast uczciwie świecić tylko na Wiśle, do wyłącznego użytku flotyli wiślańskiej, na której miałem zaszczyt przebywania przez tydzień, co mnie ostatecznie doprowadziło wreszcie do rozumnego używania życia, skakania przez dziesięć schodów, syreniego ryku przy spotkaniu, zjadania, co się da, prócz zbyt twardej skóry, picia, co się da, prócz wody, wstawania o szóstej rano tylko po to, aby znowu zobaczyć tę samą wodę, plucia na odległość, zapalania papierosa na największym wietrze, uważania wieży kościelnej za maszt, a policjanta na ulicy za znak, ostrzegający o mielźnie. Tydzień ten uważam za jeden z najmilszych, bo spędzony wśród zacnych ludzi, dzielnych, twardych i kochanych. Przedstawię ich niebawem, teraz bowiem wołają na pierwszy obiad. Pierwszy obiad składał się z surowych pomidorów i kotletów siekanych. Drugi obiad składał się z surowych pomidorów i siekanych kotletów. Trzeci składał się z siekanych kotletów i pomidorów surowych. Czwarty z kotletów bardziej surowych i z pomidorów bardziej surowych. Piąty z pomidorów doskonale



surowych i kotletów doskonale siekanych. Szósty... nie! nawet wspomnienie jest siekane i wspomnienie jest surowe. A trzeba uczynić uwagę, że ze względu na obecność „znakomitych“ gości, obiady były wystawne, w zwyczajnym czasie zjadają ci kochani ludzie siekane liny okrętowe, co im bynajmniej nie przeszkadza w utrzymywaniu wiecznej pogody ducha i nie chmurzy jasności spojrzenia; widać też z tego, że można nie jadać bażantów i bić się tak, jak ci ludzie bili się pod Płockiem, co też zostanie opowiedziane dokładnie, jak tylko po zastosowaniu środków leczniczych, wyleczę się z manji, że jestem surowym pomidorem, bo wreszcie słońce, krwawo zachodzące za widnokretem, wydawało mi się jak krwawy, wielki, surowy pomidor.

## LUDZIE I OKRĘTY

Kiedy słońce ma zapaść za widnokrąg i już, jak złoty pajak srebrnymi nićmi, ostatnimi promieniami czepia się szczytu masztu, wtedy na jedną chwilę całe życie na statku zamiera, odbywa się bowiem codzienna przepiękna uroczystość, powtarzana rano, ze wschodem słońca. Marynarz przerywa pracę i staje w szyku, czekając na rozkaz, obok zaś wszyscy, znajdujący się na pokładzie. W pewnej chwili rozlega się



ostrzy, krótki gwizd dyżurnego oficera i przejmujący, uroczysty rozkaz:

— Do bandery! Baczość!

Wszystko stoi nieruchomo wyciągnięte i zdejmuje nakrycie głowy; kapral zaś powoli zwija banderę, jakby ceremonialnie, poczem chór marynarzy śpiewa „Rotę“. Znow gwizd i uroczystość skończona. Jest ona przepiękna i miła; bandera statku jest to dla marynarza taka świętość, że ile razy, wracając z lądu, stawia nogę na pokładzie, odkrywa głowę, w banderze tej bowiem łopoce jego duma i jego godność żołnierza, w czerwonym jej kolorze rumieni się zaschła krew jego poległych towarzyszków, w jej bieli jaśni się czystość wody. Patrzy na banderę swoją z zabobonną czcią, w niej kocha wolność swoją i swoją Ojczyznę, w jej cieniu, raczej w jej promieniach jest szczęśliwy i taki wolny, jak morski orzeł, co widzi tylko morze i chmury.

Statek zarzuca kotwicę i układa się na falach na spoczynek opodal fortów Modlina. A wtedy dobry włóczęga księżyc dobywa się z wielkim trudem z pieleszy chmur, powoli wędruje ku nam świeci, aby stojącemu na straży marynarzowi nie było tęskno w ciemnościach nocy na smutnej wodzie. • Rzeka się czyni srebrna i śliczna, a księżyc wysrebrzył przed nami drogę w dół rzeki, srebrny gościniec do Gdańska, po-

tem ciekawie, stary, mądry praktyk, złotemi swojemi oczyma ogląda szczegółowo wszystko na okręcie, widać bowiem jak się zsunął blaskiem przez maszt na pokład, jak opatruje metalowe części, czy czyste, potem gdzieś dźwięknął na łańcuchu kotwicy i usiadł przez chwilę na sterze. Wszystko jasne i czyste, w księżycowym blasku przeczyste, więc zadowolony, jak niebieski admirał, co przez chmury na złotym płynie okręcie, pogładził ludzkie twarze, pomnożył złote naszywki oficerów, awansując ich w nagrodę na wielkie staranie, potem przystanął i słucha. Oto w wielkiej, księżycowej ciszy młody oficer, na wodę patrząc, jakby mu ona przynosiła wspomnienia, opowiada rzeczy dziwne o tem, co się działo na Pinie, na Prypeci i na Dnieprze. Niemal wszyscy oni tam otrzymali pierwszy polski chrzest bojowy, z jakąś biedną łodzią motorową porwawszy się na pancerne statki bolszewickie. I na statkach tych rozkwitła polska bandera. Odnosili cudowne zwycięstwa i brali ogromne łupy, nie spali tygodniami, śmierć ich goniła po wodzie, albo czyhała na nich na każdym zakręcie rzeki. Jeden z nich wpadł niespodzianie na cztery opancerzone statki bolszewickie, prosto na zgubę; nie było tyle czasu, aby zawrócić, więc się ciska, jak furjat i boskim przypadkiem — rakieta zapala amunicję na jednym ze statków nieprzy-

jacielskich. Eksplozja, zamieszanie, awantura, z której on korzysta i pokazuje bolszewikom pięty swojego okręciku. Opowiadającemu głos drży na wspomnienie i z żalu, że wszystką zdobycz trzeba było zatopić. Zdaje się, że serce mu się kraje, kiedy mówi o odwrocie z Dniepru, kiedy trzeba było statki posłać na dno, a samym przedzierać się lądem ku armjom polskim. Nie wystarczyłoby dziesięciu nocy księżycowych do opowiedzenia tych krwawych zmaganiań na wodzie, pełnych krwi, cudów waleczności, furji, szaleństw bohaterskich, a czasem rozpaczy. Więc patrzymy z cichym, wielkim podziwem na tę gromadkę ludzi młodych, zawziętych, szczerzących zdrowe zęby do księżyca wspominających z namiętą lubością walkę i spragnionych jej na nowo. Z owych czasów pochodzi to ich braterstwo, bo się tu wszyscy miłują, jak bracia. Jeden drugiego ratował, jeden drugiemu ofiarował co chwilę życie w ofierze, tak sobie, prosto, bez namysłu; każdy opowiada o bohaterskich czynach cudzych, nigdy o swoich i ta ich skromność najbardziej jest w nich ujmująca. Więc księżyc, co ich widział przy ciężkiej robocie na Pi i e i na Prypeci, uśmiecha się tylko łagodnie, jakby mówił: och, pamiętam, pamiętam, chłopcy moi!

Trzeba jednak iść spać, bo pan kapitan Jarczyński, strasznie kochany człowiek, ma jaki

dziwne marynarskie przesady i uważa, że pokład wojennego statku, to nie jest klub i wskutek tego wcale łatwo znaleźć rano u drzwi kajuty „picadora“, który najuprzejmiej powie, że z najwyższego rozkazu trzeba wypocząć w samotności przez dwadzieścia cztery godziny. Kładzie się tedy człowiek na ławeczce, przeznaczonej chyba dla bardzo chudego nieboszczyka i czeka na sen. Sen na Wiśle nie jawi się w postaci milczącego krogulca, lecz krzykliwej dzikiej kaczki. Po dniu, pełnym wrażeń trzeba jednakże zasnąć; przytula się głowę do żelaznej ściany statku i zamyka się oczy. Przez chwilę jest cicho, a za chwilę słychać za ścianą jakieś szmery, szepty, bulgotania i jakby cichy śmiech. — Jak się panu śpi na Wiśle? — bulgoce fala, a w tej chwili ma się wrażenie, że się do ucha wlewa woda. Ponieważ woda ma czas i potrafi takie kawały urządzać do białego rana, więc się kładziesz na wznak w wygodnej pozycji nieboszczyka i zamykasz niebieskie oczy, pełne jeszcze księżycowego światła. Wtedy zaczyna po nad głową miarowym krokiem, ciężkim, żelaznym krokiem chodzić tam i z powrotem wartownik.

— Aha! — myślisz sobie, na poły senny, — to spadkobierca chodzi po wieku mojej trumny.

Kiedy się już zaczyna przywykać do trocheicznych kroków żołnierza, wtedy, aby ci się

zbyttnio nie nudziło, wpada w ten ustatkowany rytm nagłe, splątane szaleństwo szybkich kroków kogoś, co się bardzo śpieszy w służbowej sprawie na drugi koniec statku. Wtedy w rozpaczy czekasz, że ten ktoś jeszcze będzie powracał, bo chyba nie poszedł się utopić. Ale, że do wszystkiego można przywyknąć, więc po kilku nocach, kiedy nagle zawyła syrena, jakby ją kto ze smolnej skóry obdzierał, zdaje ci się już, że to słowik śpiewa w gąszczach nadbrzeżnych.

Za to zaś, żeś spać nie mógł, każą ci wstać o szóstej rano, bo taka marynarska moda, dość rzadko praktykowana w literaturze; człowiek się tylko tem pociesza, że są na statku tacy, którzy musieli wstać o piątej, a kilku nie wolno się było położyć i ci kiwali się przez noc całą w stronę księżyca. Ludzie ci pozmięniali się w zegarki, a ich wieżowy zegar, pan komendant, uważa, że o każdej porze nocy trzeba wsiąść na łódź motorową i objeżdżać wszystko dookoła. Zaczynam mniemać, że te latające Holenderczyki wyśpią się po raz pierwszy w grobie, — daj, Boże, za sto lat, bo skoro świt, już się zaczyna awantura. Na Wiśle jeszcze mgły, gęste, mleczone, leniwe i wilgotne, leżą z trudem na brzeg z wody i pasą się sennie w wiklinach, a oni już w ruchu, już pełni życia, sprawni, sprężyści i gotowi. Zaczyna się

ruch rzeźki i żywy; marynarze robią tualetę na pokładzie, niesłychanie wytworną, choć mało wymyślną, chwyta bowiem chłopaczek kubek wody, zimnej jak angielska miłość i leje ją sobie na łeb, przyczem prychnie tak, jakby się nagle z Wisły wynurzyło stado hipopotamów, mocno z czegoś zadowolonych. O, z jaką radością patrzę na te pyszne figury, któremi można rozbić mury. O, gdybyś cherlaku miejski mógł ujrzeć piersi pana kaprała Langa, zacnego Krakowiaka; gdyby runął rondel krakowski, ów szlachetny kapral zastąpić by go mógł własnymi piersiami. I drugi taki sam i dziesiąty, wychowany na wodzie, pracujący, jak koń, jeżdżący, co Bóg zdarzy, zawsze wesóły i rzeźki. Rośnijcie, chłopaki kochane, a każdy armatę zastąpi! Ale przy tem są to straszne eleganty; po kąpieli trzeba misternie zaczesać grzywkę, czy ogolić się, zdarza się bowiem, że kochany pan komendant każe wywiesić flagę, która z radości łopocze, krzyczy i wrzeszczy, jak zwarjowana, na całą Wisłę: „Wszyscy na ląd do dwudziestej godziny!” Wtedy to trzeba ujrzeć naszych marynarzy, jak to po nadbrzeżnem mieście chodzi dumne i niebieskie, dumne z szerokiego niebieskiego kołnierza, z czarnych wstążek u czapki i zawraca reflektorem oczu do każdej panienci, jak do morskiej latarni, steruje ku niej ostrożnie, bo panięńskie serce może mieć



mieliznę, potem jej w serce zarzuca zadzierży-  
stą kotwicę, holuje ją potem do kinematografu,  
a wywiesiwszy płomienną flagę miłości, gwiz-  
dże za chwilę — na nią i na całe miasto por-  
towe i odpływa w przekonaniu, że lżej teraz  
będzie płynąć, bo Wisła wezbierze od łez pa-  
nieńskich. Ale chłopak dobry i serdeczny, krzy-  
wdy nikomu nie uczyni, nietylko dlatego, że  
go dowódca flotyli — oficerowie w żelaznych  
trzymają ryzach, ale i dlatego, że ma serce,  
czyste, jak woda. Płaci za wszystko na brzegu,  
bo jest przede wszystkim ogromnie „honorny“  
i to go też mocno zobowiązuje, że go nad-  
brzeżni ludzie bardzo kochają. Człowiek z nad-  
rzeki strasznie lubi człowieka z rzeki i braterski  
między nimi panuje stosunek. Z rykiem śmiechu  
opowiadają jedynie o rozmaitych awanturach  
nad Prypecią; był wtedy wśród nich jeden taki  
przemysłny, co umiał z wody chyba zrobić wino  
i strasznie lubił gęsi. Pędzi raz cztery przera-  
żone gęsiątka i natknął się na dowódcę.

— Gadaj zaraz, czyje to gęsi? — woła ziry-  
towany dowódca.

— Melduję posłusznie, że niczyje, — odpo-  
wiada łobuz, — to dzikie, panie kapitanie.

W tej chwili wylegli wszyscy na pokład i pa-  
trzą z lubością, jak po za naszym statkiem roz-  
winęła się w sznur flotyla, nasza, prawdziwa,  
najdroższa flotyla wiślana, żelazne dzieło żelaz-



nych ludzi, umiłowane dzieło ludzi, których trzeba miłować. W początkach lipca nie było jeszcze nic. Wtedy kapitan Bohdan Jarociński otrzymał rozkaz — stworzenia flotyli wiślanej i wcale się nie zdumiał, bo tak samo przystąpiłby był do wykonania rozkazu, gdyby mu kazano uczynić pancernik z księżyca. Zakasał rękawy, on i jego oficerowie, ci drodzy oficerowie z Prypeci i z Dniepru, porwał, co porwać było można, zarekwirował, co się dało i pracując ponad siły, z tą szlachetną gorączką, którą w sobie pali każdy żołnierz polski, a marynarz szczególnie, jeśli o statek idzie, zaczął szukać, kupować, łątać, stroić, wymyślać, przerabiać, nicować i zbijać, aż zbił z żelaznych blach tę swoją flotylę, na którą w tej chwili w porannem słońcu patrzy z takim serdecznym rozrzewnieniem, jak ojciec na synów swoich, dzielnych i groźnych, idących do boju. I wszyscy na „Warneńczyku“ patrzą na nią bogdaj, że przez radosne łzy. Słońce, jak złoty reflektor, cisnęło na nią słup blasku, a oto polskie okręty płyną powoli tuż obok, każdy zaś salutuje statek sztabowy i swojego dowódcę, co na czele oficerów stoi i patrzy pilni i serdecznie, nie odejmując ręki od czapki.

Oto idzie dumnie, najwspanialszy „Andrzej Zamojski” pod podporucznikiem de Waldenem, „Minister”, któremu przewodzi Sadowski Zy-

gmunt, porucznik, zaczem „Sobieski”, którym włada por. Mohuczy, zaczem „Wawel”, którym kieruje inny Sadowski Jan, a jego zastępcą jest Sułkowski, podporucznik bohater, kawaler *Virtuti Militari*. W porcie modlińskim została „Wisła” i mocno pod Płockiem ranny „Stefan Batory”. W dalszej zaś drodze będzie nas więcej, bo się do nas przyłączą najprawdziwsze statki wojenne, przygotowane do wojny od urodzenia, co zostanie opowiedziane w swoim czasie.

Wtem nagle, jak stado delfinów, na wyzłoconej drodze wiślanej igrających, gna przez wodę, tysiące bryzgów i pian za sobą wlokąc, stado łodzi motorowych. Pędzą, jak oszalałe, a w doskonałym szyku, prują wodę z fantazją, wesołe, szybkie, rozradowane, jak młode psiaki, co się dokoła kręcą. Na rozkaz biegną naprzód, jakby wypatrując drogi, jakby węsząc plamy słoneczne na rzece, wypatrują mielizn, to znów w bok uskoczą, gdzieś w zatoki, aby wszystko ujrzeć i wiedzieć o wszystkim. Czasem która nawróci i płynie pod słońce, wtedy rozpryskują się za nią rozradowane fale, a ona, dziób do góry zadarłszy, do połowy tyłem zanurzona w wodzie, płynie ku wielkim statkom po rozkaz, gdyż jest zbyt pełna życia i ustać nie może w miejscu. Każda ma na dziobie malutkę, śmieszoną armatkę, na której śmierć siedzi okrakiem, a z tyłu karabin maszynowy, ponurego zrządę,

który wszystkich zagada, zawsze zły i chory na wątrobę. Wszystkie, tak samo jak i okręty, pomalowane na jakiś zwarjowany kolor pstry, ochronny kolor, zwany na flotyli „japońskim”; namalowana gęba starszej damy, z której deszcz zetrze farby, albo uwiędły ogród w jesieni, tak właśnie wygląda.

Patrzymy z podziwem na tę niespokojną czeredę, a marynarze czynią sobie uwagi:

— Trójka za dużo puszcza z tyłu dymu...

— Ale piętnastka dobrze jadzie!

Piętnastka? Ach, to ta, dawny niemiecki „Gerhardt”, zwinna i szybka. Mimowoli uśmiecham się do niej: to ona dokazywała pod Płockiem tak, że ją bolszewiki nazwały „czortowaja podwodnaja łodka”. Gdyby można pić benzynę, wypiłbym beczkę za jej zdrowie.

## RADOSNE I SMUTNE

Trzeciego dnia podróży, czułem cichy, żal do Krzysztofa Kolumba, że się pośpieszył z odkryciem Ameryki, taką bowiem poczułem w sobie miłość wody i straszliwe żądze do odkrywania dalekich krajów; starałem się ją uczynić „spaloną wichrami”, ku nieślychanej radości jakiejś starej, wyłysiałej czapli, która stojąc opodal na ławicy piasku, trzęsła się ze śmiechu na mój

widok. A jednak czułem się marynarzem wśród prawdziwych marynarzy, których wiatr pospędzał ze wszystkich mórz świata; mimo wszystko, mimo złośliwej karykatury, którą mi potem nadesłał anonimowo, jakiś kochany malarz, wymalowawszy mnie na niej w holenderskim stroju, z parasolem w ręku, wtłoczonego w pas ratunkowy z firmą „Warmeńczyk”. Zaraz znać, że malarz, który rzadko używa wody zewnętrznie, chyba na chrzcie świętym i to drąc się w niebogłosy, a nigdy wewnątrz, bo by go zabiła apopleksja, nie ma zrozumienia dostojności wody. Pas ratunkowy! Tłumaczyli mi marynarze, że z tem to jest wielkie szachrajstwo, bo, wpadłszy w wodę, lepiej jest utonąć spokojnie, niż wołać o pas; rzuca ci go bowiem, naturalnie z serdeczną gorliwością i pójdiesz na dno z rozbitym łbem, drobiazg ten bowiem waży kilkadziesiąt mocnych funtów. Ale i tak „nie mieliśmy” burzy i nie widziałem na Wiśle rzeczy groźnych, tylko piękne, prócz syreny, która zdaje się, nie oddala się z Warszawy, ze zdumieniem patrząc bezustannie z wody na kamienicę Or-Ota i śpiewa mu kołysanki. Biedne poety, tłukące się po Wiśle nie widziały wiślanej dziewczicy.

Przebywały za to wśród nadzwyczajnych ludzi, dla których łąd stały jest dość śmiesznym wynalazkiem istniejącym po to, aby woda

miała po czym płynąć; każdy ma zapas opowiadań na całą książkę, prędzej jednak Wisła zacznie płynąć w przeciwną stronę, niżby taki wziął w rękę rzecz tak obłąkanie śmieszna, jak pióro, co nie jest podobne ani do kotwicy, ani do wiosła. Więc pan kapitan Przysiecki, opowiada o życiu w łodzi podwodnej, pan porucznik Rosenbaum (Inflantczyk), stary marynarz z twarzą trytona, opowiada o walkach na Czarnem Morzu, pan porucznik Hordliczka, specjalista od karabinów maszynowych, do niedawna oficer armji... kanadyjskiej, włóczęga po całym świecie ma niewyczerpany zapas wspomni i tak każdy, ten z floty rosyjskiej, ten z niemieckiej, ten z austriackiej. Ach, jest jeden— z japońskiej; młody chłopak, podporucznik Seweryn Bukowski, przez dziwne koleje dotarł do floty japońskiej, teraz zaś na wiślanej flotyli urządza na każdym ze statków stację telegrafu bez drutu; zawołany specjalista, pracuje od świtu do nocy i o niczem innem mówić nie chce. Wszelki drut jest dla niego zwyczajnem łajdactwem, więc tak długo kręcił, tak długo zbijał, tak długo sam, własnoręcznie każdą wkręcał śrubkę, tak długo próbował, że wreszcie jakaś pocziwa fala elektryczna przyleciała na „Warneńczyka” do pana podporucznika, jak Arjel do Prospera i zagadała wyraźnym głosem.

Budka okrętowej stacji jest malutka i ciasna; stoi w niej ten dziwnie mądry aparat, w którym zaklęty jest demon błyskawicy, skowany stalą, oplątany drutami, trzymany na uwięzi, głucho milczący z wściekłości, że stworzenie podłe i powolne, człowiek, schwycił go podstępem w jakąś sieć, jego, który straszliwym zygzakiem drżał żądzą śmierci w ręku jowiszowym, który przelatował niebo obłąkaną krwawą drogą, darł chmury tak, że krew z nich tryskała, jego, który ziemię obleci dookoła w czasie jednego mgnienia, a jeśli mu się podobało, z hukiem miliona armat ciskał się z nieba na ziemię i darł ją okropnym, złotym szponem, jakby z niej pragnął wytargać serce. A teraz karzeł mizerny, któremu on trzaskał w pył kościelne wieże, albo jego samego zabijał jednym błyskiem, schwycił go ohydną siecią rozumu, zamknął w ciasnym stalowym pudle i każe sobie służyć i gna go jednym ruchem ręki przez lądy i morza, oszalałego z trwogi i obłąkanego z rozpacz, że mu z drogi nigdzie zboczyć nie wolno, lecz nieść poselstwo i nie uronić z niego ani słowa. Śpi teraz, zamknięty i przyczajony, aż oto przyszedł młody człowiek i położył rękę na czemś czarnem. Wściekła się w tej chwili błyskawicowa siła, syczy, jak rozdrażniony wąż i chcąc odstraszyć człowieka, błyska jadowitem, zielonkawem błyskaniem, złem, zimnem i



·samowitem; chce stawiać opór i wije się wśród drutów ze straszliwą szybkością, zmienia się w ukrop błysków, w gotujący się wir malutkich piorunów, chce wyrwać się i uciec pod chmury, skąd ją chwycono na arkan. Ale człowiek jest spokojny i milczący.

— Puść mnie! — syczy siła.

— Nie puszczę! — milczy człowiek.

I chwyta ją mocną ręką za ogniste włosy, patrzy zimnemi oczyma w jej twarz, ze wściekłości zieloną i mówi jej:

— Polecisz, dokąd ja zechcę. Goń, jak pi i szukaj tego, do którego cię poślę. I powi mu to, co ja tobie powiem.

Wtedy powoli zaczyna jej mówić, litera po literze, a ona, w przerażeniu wielkiem, wyrasta w nieskończoną wstęgę błyskawicową, w piorun bezgłośny, ciska się w toń powietrza, jak oszalała, wznosi się w górę ponad okręt, z wysoka rozpatruje okolicę i gna bez tchu pod chmurami, piorun — niewolnik.

Z podziwem patrzę na tego czarnoksiężnika, co piorunami gada, demona trzyma w niewoli w małej, śmiesznej, drewnianej budce i nie daje mu ani chwili spokoju, lecz go, śpiącego, wciąż budzi i drażni, we dnie i w nocy, albo mu sobie każe coś szeptać do ucha, jakieś tajemnice ze świata, albo próbuje jego posłuszeństwa i każe mu lecieć na monitor, opodal płynący



i zapytać, czy jego brat, demon z monitora, dobrze funkcjonuje na chwałę polskiej ojczyzny?

Pytanie jest retoryczne, gdyż na flotyli wiślanej wszystko funkcjonuje sprawnie, jak w zegarze okrętowym, jedynym nieznośnym indywiduum, gdyż co pół godziny, dzwon, któryby mógł umarłego zbudzić w grobie, ogłasza stan czasu. Do bicia w dzwon wybrano, zdaje się, najsilniejszego marynarza, aby i w nocy człowiek się mógł dowiedzieć, że jest w pół do czwartej, jakby to było niesłychanie ciekawe. Przywykła do tego załoga i nic sobie z tego jęku nie robi, tylko goście mieli z tego rozkosz i pożytek.

Rozgadałem się jednak o telegrafie bez drutu, a tymczasem przybyliśmy do Płocka, który zniechęcał nad wodą w pysznej, katedralnej pozycji, śliczny z daleka, wyglądający dziś z bliska, trochę, jak rzeszoto, tak bardzo postrzelany, ranny w stu miejscach, bohaterski Płock. Kiedyśmy wpłynęli na płockie wody, na wszystkich statkach wszystko wyległo na pokład, przejeżdżamy bowiem niedawne... pole bitwy, tej pamiętnej bitwy, która flotyli wiślanej przysporzyła kilku bohaterów, zabrała jej kilku najmężniejszych, ochrzciła flotyllę z krwi i napelniła ją bitewną dumą. Ze wzruszeniem patrzymy na fale, choć bitwa była „pisana na wodzi“, prócz jakiejś strzaskanej u brzegu szkuty, ni

widać żadnych śladów. Pozostały tylko ślady promieniste na piersiach, krzyżami ozdobionych, żałobne na cmentarzach i dumne na całej flotyli. Dnia ośmnastego sierpnia walczył pod Płockiem „Stefan Batory” — „Wawel” — „Minister” i łódź motorowa, oznaczona numerem piętnastym. Zaczęła się bitwa od ostrzeliwania wąwozu z lewej strony Płocka, skąd grzmiała bolszewicka baterja, która czyniła straszliwe szkody. Rozkaz ostrzeliwania otrzymał „Minister”, który właśnie ładował węgiel, — jedyny minister polski, który dba o przezorne zaopatrzenie się w węgiel; napełniwszy tedy wnętrze swoje węglem, szlachetny „Minister” zaczyna grzmieć z armat i karabinów maszynowych, lecz wtedy wszystkie działa bolszewickie, jak groźne interpelacje sejmowe, zwracają się na rzekę i „Minister” powoli wycofuje się za most, skąd strzela dalej. Wycofał się fukający z armaty wielki odyniec, przed mostem został jednak zły pies, zwinny, obrotny i zacięty. Nie chce ustąpić za żadną cenę. To właśnie ta wściekła motorówka nr. 15. Numer ten powi ien pierwszy wygrać milion w ciągnięciu naszej nowej pożyczki, gdyż był w tej bitwie dziwnie szczęśliwy. Dowodzi nią pan podporucznik Karol Taube, człowiek tak spokojny, że gdyby go byli wtedy zabili, byłby to zauważył dopiero po pewnym czasie, tak bardzo mało dbał o kule, które pra-

żyły w Wisłę, rybom na postrach. Nagle się jednak zachwiał miły pan podporucznik Taube i padł na dno łodzi. Ale, że jest to człowiek spokojny, więc za chwilę wstał, tylko trochę, jak pijany, choć na wodzie; kula ugodziła go— w lornetkę, wiszącą na piersi, głupia bolszewicka kula, myśląca, że jeśli trafi w lornetkę, to wpadnie w oko. Widziałem tę lornetkę; teraz przez potargane jej i pokrzywione ścianki widać tylko ogłupiałą i zdumioną śmierć. Gonila ona tę łódź, jak wściekła, z przodu, z tyłu i z boków, zataczała dokoła niej kręgi, woda wyglądała pod kulami, jakby w nią bił deszcz, a ta śmieszna piętnastka, mądra i chytra jak lis, pluła przed siebie z małej armatki i wiła się wśród kul. Jej sternik, pan kapral Nowakowski, lawirował, jak dyplomata, kluczył, jak zając, świetny sternik, chytry i przytomny.

Mimo tego zaczyna już być z łodzią źle, bolszewicy się na nią uwzięli; wtem motor w niej radośnie zahuczał, bo zdala widać dwa dymki: to na pomoc płynie „Wawel“ i „Batory“. — „Byle do nich—terkocze motorówka,—a wyjdę cało!“ Więc się znów zaczyna wić i kręcić na wodzie, jak w tańcu świętego Wita · trzykrotnie próbuje dostać się na bezpieczniejszą stronę rzeki, poza most. Nie udaje się jej trzykrotnie, przejść nie można w żaden sposób; więc oba statki idą ku niej; „Wawel“ dociera

do mostu, „Batory“ zaś otrzymuje ciężkie rany. „Wawel“ łączy się z „Ministrem“ i już im tego wszystkiego zaczyna być za wiele, rozpoczynają tedy ogień z całej mocy, aby dać czas wojskom lądowym na przejście do kontrataku, co się udaje. Z nastaniem zmroku statki powoli się cofają, a „piętnastka“, która się nie boi nocy, ani mielizny, napiła się benzyny, krzyknęła hurra! i zaczyna znów pracę, bo trzeba wojska lądowe przewieść na lewy brzeg. Wtedy się stała najdziwniejsza rzecz w całej wojnie: konnica bolszewicka atakowała łódź motorową. Nie oszalałem, tylko mówię świętą prawdę; wściekłość na, tego uprzykrzonego bąka, odebrała rozum bolszewikom ujrawszy łódź przy brzegu, rzucili się w jej stronę ku wodzie ze wzgórza, ona zaś, wypuściwszy w ich stronę dość niemiłą woń spalenizny na znak głębokiej pogardy, cisnęła się jak łosoś na wodę. Zaśmiał się tylko szeroko pan sierżant Musiał, który walnie dokazywał, za co krzyż *Virtuti Militari* błyszczący teraz na jego piersi.

Otrzymał go za tę bitwę pan ppor. Sułkowski Henryk, co przy armacie stał przez cały czas bitwy i prażył i zmusił do milczenia baterję bolszewicką. A rozkaz dzienny głosi, że „ppor. Sułkowski przez cały czas bitwy odznaczył się wzorowym spokojem, pogardą śmierci i zapalem bojowym“. Cześć Ci, pp. Sułkowski! Otrzy-

mał krzyż dowódca „Batorego“ pp. Stefan Kwiatkowski, który „po stracie sternika, sam ujął ster..., nie przestając równocześnie kierować ogniem obu dział. Czynem tym ocalił statek od zniszczenia, a załogę od niewoli i śmierci. Umieściwszy okręt na mieliźnie, nie przerywał ognia, przez co skoncentrował na sobie ogień baterji i nie pozwolił jej ostrzeliwać mostu... Po stracie obsługi i rozbiciu jednej z armat, wysadził na ląd pozostałą załogę, sam zaś z ochotnikiem, marynarzem pod silnym ogniem nieprzyjacielskim dwukrotnie powrócił na okręt zdjąć z armat przyrządy optyczne, oraz zamki i karabiny maszynowe, które ustawił na brzegu i z których dalej prowadził ogień...”

A ten „żołnierz ochotnik“ z „Batorego“ to kawaler Virtuti, chłopczyzna może osiemnastoletni (wielki mój przyjaciel), wesoły, grzeczny, rezolutny i śliczny żołnierzyk, Bronisław Michnowicz. Sto razy śmierć była przy nim, on jednak nosząc ze swoim porucznikiem karabiny maszynowe z rozbitego statku, nie miał czasu, aby zauważyć taką drobnostkę, jak śmierć. Najmilszy ten żołnierzyk, powinien mieć dziesięć chrzestnych matek, a fabryki czekolady powinny pracować jeden dzień w tygodniu dla niego.

Strasznego tego dnia, kiedy nad Płockiem śmierć wisiała, jak ciężka chmura, sześciu bohaterów ze „Stefana Batorego“ i osła Wisła,

miętko ich i miłośnie niosąc na falach, aby ich pochować w morzu.

A w tem miejscu, gdzie ich śmierć cisnęła z ukochanego ich statku w głębię wody, Wisła jest jakby jaśniejsza.

## ODBITE W WODZIE

Jest, a raczej był we flotyli wiślanej statek, który się nazywa „Moniuszko”. Zdawało by się, że statek „Batory” powinien wieść boje, jak to czynił, statek zaś „Moniuszko” powinien mieć na pokładzie orkiestrę i rozbrzmiewać, leżąc na kotwicy, smętnymi chórami w księżycowe noce. Tymczasem statek „Moniuszko” miał na pokładzie karabiny maszynowe i dokonał czynów najwznieśliwszych. Wyrosły na nim dwa krzyże *Virtuti militari* i na moment jeden, jak jastrząb, usiadła na jego maszcie śmierć i stało się nieszczęście. Słowa rozkazu o statku tym są żelazne. Oto „nadaje się krzyż marynarzowi Stanisławowi Kalinowskiemu, który dnia czternastego sierpnia pod wsią Bobrowniki wykazał w czasie nieprzyjacielskiego ataku na statek, nieustraszoną odwagę, strzelając z karabinu maszynowego położył trupem piętnastu bolszewików, a kiedy karabin zaciął się i nie mógł już być użyty do skutecznego obstrzału, marynarz



Kalinowski skoczył do prawego, nieopancerzonego i nieustawionego karabinu maszynowego, przeniósł go na lewą stronę i stojąco przez cały czas odkryty pod gwałtownym ogniem nieprzyjacielskim, ostrzeliwał wroga z karabinu, umożliwiając przez to reszcie załogi wycófanie się na lewy brzeg Wisły. Już po opuszczeniu statku przez załogę, raz jeszcze powrócił na statek pod silnym ogniem bolszewickim i zniósł ze statku resztę przyrządów bojowych..“

Marynarz Kalinowski musiał być mocno niezadowolony, że nie mógł całego statku wziąć na plecy i wynieść go z wody.

Dnia tego patron statku, pewnie dyrygent chórów anielskich, Moniuszko, chyba zapłakał chórom niebieskim śpiewać rozkazał pieśń najpiękniejszą, pełną dumnych okrzyków śpizowych i wielkiego zarazem płaczu, albowiem tego dnia na białych mgłach wiślanych, jak na białych skrzydłach łabędzich wleciał w niebo chłopak młody dziewiętnastoletni, cichutki, a bohater, szczęśliwy i rozpromieniony i mówił: „Melduję posłusznie — pporucznik Jerzy Pieszkański — dowódcą opancerzonego statku „Moniuszko“, śmiercią krwawą powalony, staje do raportu i prosi, aby Bóg zachować raczył jego statek, który tonie“.

Na cmentarzu we Włocławku jest tego grób, świeżą darnią pokryty, a cztery żelazne kotwice



stoją dookoła. Na grób ten wieźliśmy krzyż *Virtuti militari*, aby go przypiąć na piersi grobu, w którym on leży. Był cudowny dzień i Wisła była radosna. Cała załoga wszystkich statków w strojach paradnych wyszła na brzeg, a na lądzie przyłączyła się do niej załoga miejscowa z dowództwem. Statki opuściły flagi do połowy masztu, miasto, które może nie wiedziało, że na cmentarzu swoim ma taki grób promienisty, wyległo na ulice. Idziemy wojskowym pochodem na odległy cmentarz, a orkiestra gra „Śpij kolego, w ciemnym grobie, niech się Polska przyśni tobie...” Cmentarz cały w słońcu, a już złote drzewa jarzą się, jak gromnice. Dokoła grobu wojsko ustawia się w czworobok, nagle znieruchomiały i tylko po blaskach w oczach żołnierskich widzisz, że się w nich proste dusze modlą wspomnieniem zacnego kolegi i dumne są, że z nich jest ten, którego tak hucznie i z paradą taką czcić będą za chwilę. Oficer komenderujący wygłasza rozkazy dziwnie szorstko i niezwykle głośno, bo się widocznie lęka, że mu się głos załamie.

— Baczność! Prezentuj broń!

Patrzę na grób, flagą okrętową nakryty, czy nie drgnie, bo pan porucznik Pieszkański wyprostował się w nim pewnie, bo wszak to na jego piersi będą przypinali krzyż.

A komendant flotylli ogłasza grobowi i żywym, słońcu i drzewom i wszystkiemu dokoła:

„Nadaje się krzyż orderu Virtuti militari pporucznikowi marynarki Jerzemu Pieszkańskiemu, dowódcy statku wojennego „Moniuszko“, który w dniu 14 sierpnia w rejonie Nieszawy w bitwie z przeważającymi siłami nieprzyjacielskimi, usiłującymi przedostać się na lewy brzeg Wisły, po stracie sternika sam zajął jego miejsce, nie przestając kierować ogniem karabinu maszynowego. Widząc, że statek, podziurawiony w wielu miejscach, zaczyna tonąć i mając poważne straty w załodze, przybił do lewego brzegu Wisły i kazał załodze wylądować i statek opuścić, sam zaś z karabinu maszynowego, zdjętego ze statku, ostrzeliwał się, dopóki nie został dwukrotnie ranny. Później, nie będąc w stanie zatrzymać, przepływającego się przez rzekę nieprzyjaciela, zginął bohaterską śmiercią...”

Na poduszce podają krzyż siwemu, obok grobu stojącemu człowiekowi — niech on go odda umarłemu, niech ojciec uczci syna. Jest chwila cudownej, wielkiej ciszy, potem odezwał się jakiś mi dziwnie obcy głos... Ach, to mówiłem ja sam. Nie widziałem nigdy takiej wzruszającej uroczystości, i zdawało mi się, że przez darń grobu widać twarzą młodą i ze szczęścia zachwyconą całującego muśnięciem najdroższą swoją okrętową banderę i ten krzyż pro-

mienisty, którego jasność jest zawsze z bohaterskiej krwi. Więc mówiłem do tego rozradowanego wielkim honorem dziecka, jak się mówi do serca dziecięcego. Mówiłem mu z wielką czcią: „czy mnie słyszysz, panie poruczniku Pieszkański?” — ale to był tylko retoryczny zwrot, bo oczu płomienistych od krzyża oderwać nie mogąc, radowało się niebieskiem weselem chłopię młode, pacholę rycerskie, co tylko dlatego nie stanęło na baczność, bo ma nogi obie zgruchotane. Opowiedziałem mu, żeśmy zwyciężyli, bo nie wiedział o tem, i o tem, co się dzieje na ukochanej rzece, o okrętach, które mimo płynąc, zawsze go radosnem graniem syren pozdrowią i powitają łopotem bander, o kolegach jego, którzy mu serca swoje na grobie zasadzą, aby wyrosły w róże i o siwym ojcu jego, co na wieść o śmierci zapytał: „A czy syn mój spełnił obowiązek swój do końca?...“ Mówiłem z nim długo, z tem dzieckiem bohaterskiem, a właściwie to zamieniałem w słowa milczenie dokoła stojących, albom w słowo dobre i pełne słodczy zamieniał jakąś męską łzę, co się ważyła na czyichś rzęsach.

Potem z synem swoim rozmawiał ojciec; mówił mu, że gdyby trzeba było, to by go posłał na śmierć po raz drugi, — a to już drugi syn i ostatni, który padł w tej wojnie. A potem się w powietrzu uczynił wielki łopot, jakby

orzeł sławy skrzydłami ponad głowy ludzkie bił, bo grano „Jeszcze polska nie zginęła“, zasalutowali wszyscy raz jeszcze i odeszli, aby się bohaterskie chłopię mogło nacieszyć do syta w samotności najdroższym, promiennym krzyżem swoim...

Płynimy dalej. Wszystko dziś na statku jest poważne i skupione, jakby wszyscy na coś czekali, gotowi też byli wszyscy w jednym momencie, kiedy ostry gwizd powołał wszystkich na pokład. Wołają „baczność!“ i nagle wszystkie statki salutują — wodę. Wszystkie oczy zwrócone w jedno miejsce i przez chwilę coś widzą, co widziały niedawno: bitwę i śmierć pporucznika Pieszkańskiego, tu właśnie, w tym miejscu, pod wsią Bobrowniki. Tu zapadły w głębiej ostatnie wspomnienia, my zaś płyniemy w zachód słońca, mijamy wsie i miasta, głębiej i mielizny, aż się z zorzy ukazało miasto, w którym słońce na wieki zatrzymane zostało nagłym krzykiem z okna kościelnej wieży: Toruń.

Wylegli na brzeg zdumieni ludzie, którzy nie wiedzieli, że w Polsce są jakie okręty, więc się one pysznią mocno, a im więcej ludzi na brzegu, tem gęstsze miny mają nasi marynarze, którzy z nadzwyczajną starannością, podwajając zabiegi nad elegancją, wybierają się do miasta pierników. Z chwilą przybycia naszej flotyli można jednym rzutem oka rozeznać twarze:

polskie mają wyraz urzędowy, niepolskie wyraz kwaśny i okraszone są miłym kolorem piernikowym. Brać marynarska rozsypała się po mieście, kupuje papierosy i niewiadomo czemu, kwiaty, łązi po kościołach i po muzeum, szuka gazet i książek. Byli także tacy, co szukali wina i łatwo je znaleźli, ale nie byli to marynarze zawodowi, tylko przygodni. Nie mogłem też, mimo usilnych starań, przekonać moich przyjaciół, że piernik toruński jest najlepszy z wodą kryniczną. Od Torunia też w dół rzeki, pogłębiało się w nas lekceważenie dla zwyczajów marynarskich; na podstawie malarskiego orzeczenia kochanego malarza Mackiewicza, doszliśmy do przekonania, że szkoda najmniejszych zabiegów o kochankę w każdym porcie. Karmione piernikami dziewice tamtych stron, dziwnie przypominają wysokie, chude, wystrzępione miotły; każda żyje przy tem na „wielkiej stopie“, dziewicze nogi wybitnie są podobne do wydłużonego dzioba okrętu. Nie dziwię się, że słońce przez tyle wieków uciekało od tego miasta i zatrzymało się wcale niechętnie na rozkaz Kopernika. Miasto to jest jednak poczciwe i tylko na oko przez nieporozumienie, ma minę miasta rozpustnego, bo na każdym drugim domu widnieje napis: tu mieszka taka i taka Dora Nitchman, albo jakoś tak, — „zawodowa stręczarka“. Panią Kwikli za tak brzydki zawód

Szekspir zmieszał z błotem, a tu się tem chwala. Ale to tylko jest źle po polsku, pocziwe te zakalce toruńskie pośredniczą w szukaniu pracy, zresztą w mieście, w którym tyle sprzedają kwiatów i gdzie jest tak poetycznie zważa się „Gospoda pod modrym fartuszkim” mieszka, piernikowym miodem pachnąca niewinność i cnota.

W Toruniu pomnożył się nasz poczet i tak już wcale, wcale okazały, gdyż do flotyli przyłączyły się dwa, prawdziwe, śliczne, żelazne monitory, prosto „z igły” Tylko dowódca flotyli był dumny z tego widoku, w rzeczywistości bowiem było trochę kwasu i goryczy w marynarskich duszach. Nasze stare gruchoty, opatrzone wprawdzie armatami i pomalowane na „japoński” kolor, strasznie się dotąd pyszniły i zdumieniem napawały spotykane po drodze opasłe, brzuchate berlinki. Teraz się zabawa skończyła, — bo z naszymi „pancernikami” wyglądamy teraz, jak stary móździerz wobec ślicznej, nowoczesnej armaty. Wybijała już we mnie ambicja marynarska, więc razem z marynarzami patrzyliśmy nieco zawistnym i niechętnym okiem, po cichu się tylko radując, że zdumienie niechętnych obywateli na brzegu zamienia się w żółtaczkę. Kiedy jednak monitory, strasznie pyszne ze swych opancerzonych armat, zaczęły nam wieczorem świecić w oczy



z reflektorów, straszne fiu! fiu!—było nam trochę tego za wiele. Pana kaprała na „Warneńczyku“ krew zalała i orzekł głośno, że „nasz“ reflektor jest stokroć lepszy, bo słup blasku jest grubszy, ich zaś jak szpikulec. Powiedziałem mu po cichu, że ten nowy reflektor ma trochę zezowate oko,—myślałem, że mnie chłop uściska. Płyniemy jednak w serdecznej zgodzie, my na przodzie, monitory za nami, a dalej w odległości cztery opancerzone. Monitory płyną jak łabędzie, śliczne cacka i popisują się, jak na wyścigach. Są tak piękne w swojej żelaznej grozie, że powoli zaczynamy do nich nabierać serca, wreszcie przebaczymy im ich piękność, co nas poraziła, a po pewnym czasie monitory już są ogólnie uwielbiane. Jeden zowie się „Warszawa“ pod por. ks. Giedrojciem, drugi zowie się na pamiątkę pierwszej polskiej bitwy wodnej „Horodyszczce“ pod por. Hryniewieckim. Oba monitory są bliźniakami; reszta zaś familji, jeszcze dwa, „Pińsk“ „Mozyrz“ czekają w Gdańsku i lada dzień przy płyną. Pan sierżant Jabłoński, strasznie dzielny chłop, bicz na bolszewiki, tłumaczy mi, na czem polegają zalety tych statków, zresztą pozwalają nam je obejrzeć zbliska. Łaził tedy człowiek przez godzinę w górę i w dół, po żelaznych schodach, po żelaznych drabinach, po żelaznych zakamarkach, przez żelazne drzwi w przedziw-



nej ciasnocie, gdzie, zdaje się, obliczono każdy metr sześcienny powietrza, gdzie wszystko świeci zupełnie obłąkaną czystością, gładził ze strachem i z rozczuleniem armaty i karabiny maszynowe. Żelazny ten potworek, monitor, ma coś bardzo groźnego w swojej wytworności i coś urągliwie jadowitego.— „Boże drogi!— wzdychają marynarze, — gdybyśmy byli mieli choć jeden taki na Prypeci!” Więc patrzą na nie już z coraz większą miłością, na tę swoją siłę i moc żelazną, na zatajoną w czarnym pudle potęgę, która się z dnia na dzień rozrasta, jasnym, przenikliwym, rozbłyśniętem, jak małe słońce okiem reflektora patrzy w stronę morza której flagę mocno trzeba przywiązywać do masztu, bo ją wiatr niespokojnie i niecierpliwie nią łopocąc, chce porwać na morskie fale.

Przygasa nieco nasz zapal, kiedy wpływamy w te rejony, gdzie prawy brzeg Wisły należy do nas tylko do granicy nadbrzeżnego wału. Jest tego brzegu czasem dziesięć metrów, jest czasem więcej; w każdym razie, gnieźdzące się w zatoczkach dzikie kaczkę, kwacząc nam na powitanie krzykliwe All right! — należą do polskiego, dzikiego inwentarza. Gdyby jednak Lloyd George chciał się, wielki zaszczyt nam czyniąc, wykąpać w srebrnej Wiśle, na jej prawym brzegu, nie mógłby się wygodnie na nim rozebrać, dostojną zaś golizną świeciłby wprost

w oczy Grenzschtzu. Widzimy czasem przez lunetę, jak się z za wału wychyli zaniepokojona i zdumiona naszym pancernym widokiem grupka żołnierzy Grenzschtzu; patrzyli za nami długo i pilnie, jak patrzono na nas dziwnym wzrokiem, im byliśmy bliżej Gdańska; jedno mi się uczyniło wtedy jasne, to mianowicie, że stanowczo żelazny monitor więcej budzi szacunku, niż pięknie wystylizowana nota. Przez tę piękną defiladę naszej flotyli zyskaliśmy wiele: dość bojaźliwy szacunek, lecz szacunek. Siła jednego dnia zjawiała się na wiślanych wodach i już o niej nie zapomną.

Więc nas wszystkich wielka ogarnęła duma i wielka radość, choć nam most w Tczewie zagroził drogę ku morzu. Przyleciał jednak z morza wiatr i ucałował nam serca. Księżyc, który całą drogę odbył z nami, strasznie pocziwie czyniąc, śmiał się, widząc, jak chłopaki na monitorze, — jako, że to była niedziela, — puściły w ruch zwarjowany, ochryply gramofon i rozpoczęły tańce, choć jedyną panną na pokładzie była armata. Cieszył się księżyc, cieszył się zacny św. Wit, że sztuka jego nie ginie, cieszyliśmy się my, a chłopcy tańczyli na pokładzie, pod którym śpi śmierć, tańczyli, radując się, że są na wodzie, że budzą podziw ludzki i że znów popłyną ku Warszawie, która pewni

wyjdzie na ich spotkanie, bo ogromnie są ludzkiej miłości spragnieni.

Poznaliśmy to, kiedy nas żegnali. „Piccolo“ okrętowy, Antek Sosnowski, mały berbeć, który dwa razy był u bolszewików w niewoli i dwa razy drapnął, przyniósł nam po raz ostatni siekane kotlety i pomidory z cebulą. Przyprawiliśmy je smętkiem i uściskawszy sobie dłoni, wsiedliśmy do motorowej łodzi, aby pojechać na brzeg. Wtedy oszalały ze strachu wiślane ryby i uciekały, zadartszy ogony, albowiem w bitwie pod Trafalgarem nie było takiego wrzasku, jakim nas żegnali marynarze, poczciwe, dobre chłopaki. Więc im za to najpiękniejszą napiszę piosenkę pomodłę się za nich do świętej Łucji, aby zawsze mieli dobrą drogę, aby nie siedli na mieliźnie, by się im nigdy nie zaciął maszynowy karabi i by ich najpiękniejsze kochały dziewczęta.

# NAJDROŻSZE LISTY



**W** literackim żywocie otrzymuje człowiek bardzo wiele listów; więc na początku kariery listy bardzo częste, bardzo jędrne i zdecydowane, kończące się po szeregu bardzo wątpliwych uprzejmości zwrotem nagłym i pięknym, zawsze w tym samym stylu: „w przeciwnym bowiem razie oddamy sprawę sądowi“. Jest to manjera epistolarna szewców, krawców i kamieniczników, zupełnie zresztą nieszkodliwa, nie znam bowiem wypadku, aby taki list doczekał się odpowiedzi. W dalszej epoce pisarskiej kariery otrzymuje się listy, które groziłyby obłędem, gdyby się je czytało do końca. Są to listy grafomanów, z których każdy grozi tem, że pisać przestanie, jeśli mu się sub rosa powi że mniejszych idjotów zamykano i każdy będzie pisał dalej, choć mu się nic nie odpowiada. Potem piszą niewinnie pensjonarki, które proszą o wpisanie się do albumu, albo stare, kaprawe więdźmy, grożące ochrypłym głosem piekłem, albo innym takim lokalem, „jeśli się pan w dalszym ciągu będzie naigrawał z rzeczy świętych“ Tym się także nie odpowiada.

Komóż się tedy odpowiada? Mój Boże! W ostatnich miesiącach do dziś odpowiedziałem na wiele, wiele listów, takich listów, na które także odpowiadać się niepowinno, gdyż do każdej odpowiedzi trzeba dołączyć okrucień serca albo płat duszy i drżeć o to, aby ta cząstka duszy była jaknajbardziej niebieska. I chciałoby się, aby każde słowo odpowiedzi było pocałunkiem lub uściskiem, aby każde było roześmiane, rozdrżane, żywe niefrasowite, aby ćwiartka papieru przypominała niebo i wpadła, pełna radości i śmiechu, jak dobra nowina, tam, dokąd była posłana. Takie odpowiedzi pisze się do polskiego żołnierza, muszę bowiem wyznać, że prowadzę z żołnierzem polskim tak szeroką korespondencję, że zajęłoby to pisanie trzy takie opasłe tomy, co „Listy perskie“, a dlatego o tem piszę, by powiedzieć ludziom, jak strasznie ten sierota, żołnierz polski, tęskni, jak gorąco pragnie każdego dobrego słowa, które czasem jest dla niego słodsze, niż chleb, miłsze nade wszystko i upragnione jak pieśczoła przez to wieczyste dziecko, które klnie tak, że się rumieni ziemia, a ma czasem serce, którego bym nie pomieniał na anielskie.

Historja moich stosunków z żołnierzem polskim jest nadzwyczajna, Sam nigdy nie byłem żołnierzem, choć władze austryjackie starały się wmówić we mnie ze znanym uporem Habs-



burgów, że ukazanie się moje nad Piawą podczas najsroźszej ofensywy, jeśli wojny zwycięsko nie zakończy, to w każdym razie sprawdzi jakiś zwrotny w niej moment. Powieziono mnie tedy do Piotrkowa, mimo przeraźliwych oznak trwogi z mojej strony, rozebrano do naga, co mi też zbytnio odwagi nie dodało i w tej chwili dusza we mnie po trzykroć omdlała, potem z rozpaczliwym wrzaskiem umarła. Przywołał mnie do życia wyrok najsurowszej wtedy komisji wojskowej, która orzekła, że jestem tak chory na serce, że i dwóch nie mógłbym uczynić kroków. Sercem mojem na dobrą sprawę można bez zbytej dla niego szkody tłuc orzechy, albo wbijać niem najsroźsze gwoździe. Austryjaki jednak orzekły, że już połowa serca mi odpadła, a druga ledwie się trzyma. Cud ten sprawiły w Piotrkowie moje przyjaciół, drogie i zacne przyjaciół, które mając też władzę w rękę, zrobiły taki handel: „nie bij ty mojego żyda, ja dam spokój twojemu“ To też puszczono mnie wolno, co Włochom odjęło kłopot brania mnie do niewoli i ocaliło im nie jeden litr wina.

Inne jednak moje przyjaciół uważały, że przeszedłszy takie koleje, mam zapewne dość wojskowego doświadczenia namówiły mnie, abym napisał tomik wierszowany dla żołnierza polskiego p. t. „Piosenki żołnierski“. Stało się.

Napisałem niepotrzebnie dwadzieścia książek, a tę książczyną mizerną kocham najwięcej, a jednak żadnej tak nie kłamię, jak to właśnie biedactwo na trzydziestu stronach. Z jej powodu teraz naprawdę niemam już serca, bo je wydałem lekkomyślnie i porozsyłałem w listach do żołnierzy na wszystkie strony.

A wszystko z powodu tej niemądrej książeczki, wydanej przez „Żołnierza Polskiego“. Djabł mnie jakiś, zapewne stary wojskowy, skuśił, że we wstępie do niej napisałem takie dwie strofy:

„W Warszawie mieszkam (Widok trzy)  
Z mizerną mą chudobą,  
Gdzie czasem w śmiech przemieniam łzy  
I tęsknię wciąż za tobą.

Przyjdź bracie, kiedy smutny, sam  
Dostaniesz urlop w święta:  
Piosenkę znajdę, wino mam,  
A zbiegną się dziewczęta...”

To był początek najmilszego nieszczęścia, jakie mnie w życiu spotkało; ja podałem adres mój dla żartu, a te najdroższe łobuzy wzięły na serjo — wino i dziewczęta. Wino jeszcze jak wino, jakiegoś octu z żółcią by się znalazło, ale z temi dziewczętami to byłoby dosyć kłopotu, uważałem zaś pilnie, że każdy mój gość, który poezję bierze na serjo, nie bardzo tęskni

za piosenką, jakimś cudackim grymasem daje mi znać, że i wina by się napił w razie czego, ale właściwie to się oglądał z coraz rosnącym rozczarowaniem i szukał, gdzie to ja właściwie chowam najmilszy z obiecanych rarytasów. Szpetnie wpadłem i świeciłem oczyma, czując, że tracę wiele z wrodzonej powagi. Wyraz twarzy niejednego z moich żołnierskich gości był mocno treściwy i mówiący wcale kwaśno na temat: „nie zawracaj pan gitary“ Wogóle byłem serdecznie zdumiony, że cała armja nie przyszła do mnie zwiedziona obietnicą takiego przyjęcia i że niezgłębioną pogardę wyraziło mi kilkudziesięciu bardziej łasych na specjały, zauważywszy, że w domu, w którym mieszkam, gdyby się nawet cały „zbiegł“, toby tych obiecanych, sprośnych rozkoszy, nie wystarczyło nawet dla paralityka.

Goście tedy z frontu, którzy zaryzykowali do mnie osobiście wyprawę, są dla mnie straceni na wieki; z pod kamieni ich przemiłej pogardy już się nie wydźwignę. Żart jednak rymowany kosztował mnie nieco zdrowia, ile razy dzwonek u drzwi, szczególnie w nocy, zajęczał z fantazją, po żołniersku. W tej chwili przysięgałem, że w życiu mojem nie napiszę wiersza dla żołnierza, ani nie podam nikomu adresu. Byłbym im oddał serce, byłbym oddał duszę — bierzcie, chłopaki drogie, bo to wasze! — ale te dziew-

częta! Ratusz mnie, Panie Boże! A czasem znów oblewał mnie zimny pot, kiedy mi poczta polowa przynosiła taki autentyczny list z frontu:

„...Zaproszenie przyjmujemy z wdzięcznością, z tem tylko zastrzeżeniem, że żaden nie chce przyjść sam, tylko kupą. Wszyscy proszą, żeby wino nie było kwaśne, lecz słodkie. Na dziewczęta naogół zgoda, chociaż są tacy, co wołają kobiety...”

Dosłownie. I chcą przyjść „kupą”, wobec czego zastawienie drzwi szafą na nic zgoła się nie przyda. Całe szczęście, że się chłopaki upili po drodze gdzieindziej i nie przyszli, bo gdyby dotrzymali przyrzeczenia, to wtedy wszystko co kobiece, w moich mieszkające stronach, musiałyby uciekać w panicznym przestraszu, unosząc całą albo resztki cnoty.

Nie umiem już wyliczyć, ilu mi ta biedna książeczka uczyniła przyjaciół, najszczęśliwszych i najdroższych, jakich kiedykolwiek miałem, przyjaciół bezinteresownych, oddanych, którzy mi się potem w setkach listów spowiadali z trosk i nędz i z których mi każdy ukazywał na oberwanym, zatłuszczonym świstku papieru duszę młodzieńczą, śliczną, niebieską, duszę wielkiego dziecka, rozczulonego do łez tem, że ktoś do niego przemówił głosem jasnym i niezaprawionym fałszem. Żołnierz nie chce nauk, nawoływań i kiepskiego frazesu. Tyle dba o to,

co o podarty but, albo o koński ogon. Gdy się jednak do niego przemówi, jak do brata, tonem jasnym lub rzewnym, słowem bez ostronek, ale pełnem żywej krwi i miłości — poprostu mieni się na duszy i przez oczy wtedy lub przez zarumienione z wdzięczności i z rozczulenia słowa listu wygląda dusza żołnierska, taka, jak niebo.

Zauważyłem, że żołnierz serdecznie lubi wszelką w piosence pustotę. Piosenka moja „O pannie, co miała syna“, albo inne, którychby nie można zacytować w gronie zmurszałych dam, ani odśpiewać ich w raju, w zgromadzeniu świętych, bo by na głowy wyskakiwali z nieba, mają wielu zaprzysięgłych wyznawców. Nic jednak tak żołnierza nie wzrusza, nic go tak nie chwyta za młode serce i nic go tak do prawdziwych łez nie rozczulało, jak słowo ciche i rzewne, piosenka, pomalowana cichym smętkiem i przetkana cichutką, ciepłą łzą, rozplakaną nad dolą żołnierza lub jego osamotnieniem. Te listy, które otrzymałem za takie piosenki, przyprawiały czasem mnie, starego cynika, o coś takiego, co zasnuwa mgłą oczy i uciska serce tak, że się czyni serdecznie dobrze.

Niech mi będzie przebaczona śmieszna słabość pisarska, że z tych niezliczonych listów kilka słów zacytuję na pochwałę własną. Lecz

jest to doprawdy tak wielka nagroda, że trudno się nią nie pochwalić. Za głupie wiersze, za to tylko, że były z serca, zapłacono mi najdroższym sercem. Zawsze to czynił jakiś piechur w imię iu wszystkich za to, że mi się smutno szarej ich użalił doli. Pisze mi jeden, drugi chłopak, nie przeczuwając może, jaką opłakaną czyni mi radość:

„...Czuję dla pana to, co dla każdego żołnierza, z którym przechodziłem pierwszy chrzest ogniowy i boje krwawe. Człowieka takiego ukochać można lepiej, aniżeli najbliższych, gdyż te chwile, które się przechodziło w bojach, pozostaną na całe życie w pamięci. Pan tak, jakby z nami wszystko przechodził, wszystkie nasze trudy marszu i bitew, tak pan to wszystko odczuwa i w pieśniach swoich pisze; jakbyśmy Bóg wie, odkąd już żyli razem. Z piosnek pana ukocha pana każdy żołnierz...” A dalej: „Proszę się nie gniewać, jeżeli napisałem coś nieprawidłowo, ale myślę piszę szczerze i otwarcie, a nie jestem zbyt wykształcony. Przepraszam!”

To ja ciebie przepraszam, najdroższy żołnierzu, że piosenki moje nie mogą cię odziać ani nakarmić, ani świętej twojej owinać nie mogą rany.

I czy warto pisać dla kogo innego? Chyba jeszcze dla dzieci...

Takeśmy do siebie wciąż pisali i nikomu się nie znudziło, tylko, że nagroda za złe wiersze

przeszła oczekiwania, bo mi je nagrodziły nie tylko te najdroższe listy, lecz otrzymałem za nie również zapłatę w naturze: kwiatki, papierosy i... funt słoniny. Napisałem w którymś wierszu: „Chciałem ci moje buty dać, by pokryć twoją sławę, lecz taki los mój (psia go mać!)—i moje są dziurawe“ Rozczuliło się najzaciejsze serce żołnierskie, zapłakało biedactwo nademną, pomyślało najmilsze żołnierzysko, jakby mi w nędzy dopomóc i—podrzuciło funt słoniny. Kto inny ją uwędził, a kto inny—zwędził i to dla mnie. Czy śmiać się w tej chwili, czy płakać z rozczulenia? Nie wiedziałem, co uczynić i uczyniłem i jedno i drugie. To wiem tylko, że jeśli mam jaką łaskę u Boga, to ten drogi chłopak, co swojego pieśniarza chciał nakarmić, ten cudny, prawdziwy żołnierz—zdrowo do swej siwej matki powróci.

Nie było wreszcie sposobu prowadzenia korespondencji z całym frontem, tak, że wreszcie musiałem załatwić sprawę generalnie przez „Żołnierza Polskiego“ i zamknąć w jednym wierszu cały szereg odpowiedzi. Napisałem im tedy tak:

Żołnierze mili, drodzy towarzysze,  
 Którzyście do mnie listy napisali!  
 Jakżeż każdemu z osobna odpiszę,  
 Co na odpowiedź czeka gdzieś w oddali?



Każda żołnierska dusza mi jest droga,  
 Każdej bym serce chciał dać w odpowiedzi,  
 Lecz listów przyszło trzysta sześć! Na Boga!  
 A w każdym taka jasna dusza siedzi,

Żem je spójrzeniem dziwnie czytał mgławem,  
 I kłał Was, chłopcy drogie, bez pamięci,  
 Że przez Was z oczu ścierałem rękawem  
 Tę łzę, co teraz w oczach mi się kręci.

Wpadłem!—na rudych djabłów sto tysięcy!  
 Myślałem bowiem: piosnki im napiszę!  
 Niech się chłopaki cieszą, — lecz nic więcej,  
 A oni serce wzięli mi, hołysze!

Pisze mi jedna gdzieś z frontu niecnota:  
 „Żem taki goły, jak i Pan bosy,  
 Więc za piosenki Ci nie pošlę złota,  
 Lecz dobre serce i trzy papierosy...”

O, człeku podły! przyjmij uścisk bratni,  
 Nad Berezyną kędyś, wśród mokradła!  
 Dwa z nich spaliłem,—został mi ostatni,  
 Bo zgasł, zbyt wielka łza na niego padła.

A drugi taki — (gdy go gdzie dopadnę,  
 To mu połamię zębra, lecz w uścisku...),  
 Wiersze mi przysłał takie sobie, ładne,  
 I wiązkę kwiatów o cudownym błysku.

Były i białe, jako dusza Twoja  
 I jak Twe serce — purpurowe kwiatki,  
 O, niech Cię, bracie, jakaś złota zbroja  
 Strzeże, byś zdrowo wrócił do swej matki,

Z trzeciej kompanji sierżant Malinowski  
Henryk, najmilszy piechur legjonowy,  
Serce rozkruszył swoje w listu zgłoski,  
Więc mu posyłam moje z temi słowy.

A inny... Boże! różneś stworzył cudy,  
Lwa i wielbłąda, małpę i jaszczura,  
Lecz po coś zlepił z czystej złotej rudy  
Tego warjata — polskiego piechura?

Gdy głodny — śmiechem rzy jak koń do klaczy,  
Nie śpi, bo bije — to sens oczywisty,  
Kpi ze wszystkiego, co tylko zobaczy,  
A potem sprośne pisze do mnie listy.

Pisze mi jedna złośliwa gadzina  
Wierszem, — zapewne w krwi maczając pióro  
Że mnie serdecznie i mile wspomina,  
Bo „właśnie siedzi nad skradzioną kura”.

O, bodaj z ciebie zrobili kapłona,  
Toś taki, drogi bracie mój—towarzysz?  
Ja tu serdelki przyciskam do łona,  
A ty, burżuju, kurę sobie warzysz?!

Warjaty czyste! Z taką samą manją  
Jak ich piosenkarz, także warjat polski,  
Co przez łzy czyta, jak ze swą kompanją  
Na święta prosi go porucznik Wolski...

Dusza śpi jasna w tej łzy małym kółku,  
Kiedym list dostał, co jak słońce świeci  
(Z piątej kompanji dziewiątego pułku)  
O garzkiej doli legjonowych dzieci.

A ten dywizjon drugi artylerji  
 Polowej, czwarty pułk — to są cholery!~  
 Nic poetyckiej nie pomnąc mizerji,  
 Taki mi piszą list na strony cztery.

„Przyjdziemy wszyscy do ciebie na wino,  
 A jest nas sporo! niech to pan pamięta,  
 Pijemy dobrze, więc rzeki popłyną,  
 A jak się rzekło — muszą być dziewczęta!”

Takie ci oto piszą do mnie bzdury,  
 Chłopaki moje, najdroższe wśród ludzi.  
 Wiatr list mi niesie przez rzeki i góry  
 I kiedym smutny, to mnie śmiechem budzi.

Wszystkim dziś razem odpisuję oto,  
 O jeden uśmiech prosząc w znak pamięci!  
 Duszą się do mnie uśmiechnijcie złotą,  
 List pieczętujcie sercem, miast pieczęci.

Odpowiedź moja krzywe ma litery,  
 Bo gdy do Ciebie piszę, zły piéchurze,  
 Jakaś mi rosa — do ciężkiej cholery,  
 Wciąż z oczu spada i spływa po piórze...

Naturalnie w tej chwili otrzymałem odpowiedź  
 drukiem w N-rze 133 „Żołnierza Polskiego” —  
 wierszem. Trochę wymyślenia, a reszta — cu-  
 dne serce. Oto ona :

Mistrzu!

                    że jesteś przyjacielem szczerym  
 (O czem tak mile mówią Twoje listy),

Że z serca głębi, chociaż od cholery  
 Przemawiasz do nas swem słowem ognistem,  
 Żeś poznał duszę żołnierza tułacza,  
 Tak nieraz słowa dobrego spragnioną  
 (Bo nieraz uśmiech jego gębę znaczy,  
 Lecz jęk tęsknoty rozsadza mu łono), —  
 O tem z nas każdy tu w drugim dyonie  
 Drugiego lekkiej artylerji pułku  
 Przysięgnąć może, żołnierskie swe dłonie  
 Kładąc na serca szczerego przyczółku.  
 Twój list ostatni na szpaltach „Żołnierza“  
 Rozbrzmiał wśród lasów białoruskich echem  
 I serca nasze uradował szczerze,  
 Do łez rozczulił i zaraził śmiechem  
 Więc tknięci słowem kochanego Mistrza  
 Ślemy podziękę, utkaną rymami,  
 Za listy piękne — prosimy o jeszcze  
 I zostajemy oddani z kośćciami.

<i>Ksaw. Radyoczek</i>	} plutonowi.
<i>J. Skupiński</i>	
<i>H. Antczak</i>	
<i>Lucjan Kowalski</i>	

W polu, d. 27.6 20 r. — Poczta Polowa 26.

I co z takim uczynić? Zawsze muszą mieć  
 ostatnie słowo, jasne i serdeczne, bo mają ja-  
 śniejsze serca. Zapowiadam ci tedy, żołnierzu  
 polski, że w najbliższych dniach otrzymasz nową  
 książeczkę p. t. „Żołnierz, djabeł i dziewczyna“,  
 pełna urągania i głuchej wściekłości. I nie chcę  
 więcej styczności z Tobą, bom serca nie ukradł.  
 Ach i jeszcze jedno! Takeście mnie opętali, —

że wstąpiłem do wojska. Przydam się wam zapewne do skrobania kartofli, bo bić się tylko wy umiecie. Lecz po zwycięstwie — Boże drogi! — razem zaśpiewamy piosenkę, razem pójdziemy na wino, razem na... Nie! „na to“ pójdźcie już sami, chłopaki najdroższe!

## SPIS RZECZY

	Str.
Po powrocie	7
Szlakiem zwycięstwa	97
Cudowna podróż	119
Najdroższe listy.	167





